

Perzyński Włodzimierz

PAMIĘTNIK WISIELCA

Nowelle

PAMIĘTNIK WISIELCA

Przez cały dzień i przez całą noc piłem po różnych knajpach a nad ranem wróciwszy do domu zacząłem robić przygotowania. Ostatecznie były one bardzo proste. Należało tylko przesunąć stół na środek pokoju i ustawić na nim krzesło. Wykonałem to cicho i sprawnie.

Potem, muszę się przyznać, miałem jeden krótki moment wahania. Przez całe życie byłem człowiekiem niezdecydowanym więc i w ostatniej chwili zabrakło mi stanowczości. Stałem na krześle ze stryczkiem, założonym na szyję i nie mogłem się odważyć na ostateczny ruch nogą, który miał mi otworzyć wrota wieczności. Aż wreszcie ten sam przypadek, który mi wszystko ułatwiał lub utrudniał w życiu ułatwił mi i śmierć. Będąc pijanym straciłem równowagę i... stało się! Strasznie podle uczucie. Gdyby mi kazano poraz drugi umierać, stanowczo wybrałbym inny rodzaj śmierci. Miałem wrażenie, że

mi głowa zaczyna puchnąć coraz bardziej i bardziej, tak, że wkrótce było jej zaciasno w pokoju. Sprawiało mi to niedający się opisać ból. Na szczęście nie trwało długo. Ściany pokoju się rozstały i to co było moją głową, wyswobodzone z żelaznego ucisku rozpięchło się nagle z błyskawiczną szybkością po wszechświecie.

Gdy to się stało doznałem uczucia ulgi i straciłem przytomność. Odzyskałem ją po kilku chwilach dopiero i miałem niezmiernie dziwne, mimo całej grozy sytuacji nawet trochę zabawne wrażenie. Było nas w pokoju dwóch, to jest właściwie byłem ja sam, ale rozdwojony na dwie postaci. Jedna widzialna wisiała melancholijnie pośrodku pokoju na haku od lampy, druga niewidzialna zajmowała nieokreślone miejsce w przestrzeni i z zaciekawieniem przypatrywała się pierwszej. Tą drugą byłem ja właściwy czyli pośmiertny. Za czasów doczesności nigdy podobno nie odznaczałem się zbytnią urodą, teraz na stryczku byłem wprost potwornie brzydki. Na szczęście już mi nic a nic na wrażeniu jakie mogę wywierać na ludzi nie zależało.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła godzina siódma. Potem zbliżyłem się do okna. Zachowałem jeszcze życiowe przyzwyczajenia. Codziennie rano po wstaniu z łóżka wyglądałem przez okno na podwórze. Rosło tam kilka drzew. Lubiałem obserwować jak się powoli

ze snu zimowego budziły do życia, jak na czarnych gałęziach ukazywały się drobne pączki a potem rozwijały w świeże, zielone liście.

Dzień był pochmurny i dachy nie obeschły jeszcze z deszczu, który przez całą noc padał. Przypomniałem sobie, że mnie ten deszcz w nocy strasznie rozrzewnił.

Przechodziłem z jednej knajpy do drugiej: była duszna parna noc i nagle uczułem na twarzy pierwszą ciepłą kroplę deszczu. Łzy popłynęły mi z oczu. Usiadłem na trotuarze i zacząłem głośno płakać, bełkocząc wciąż jeden i ten sam wyraz:

— Wiosna... wiosna... wiosna...

I kiedy podszedł do mnie stróż nocny chciałem go koniecznie pocałować w twarz i urywanym głosem przez łzy namawiałem go, aby wspólnie ze mną życie sobie odebrał. Świecie jestem przekonany, że nikt nigdy tak szczerze przed nim serca nie otwierał i nie przemawiał do niego słowami tak pełnymi miłości. Człowiek ten powinien był mi podziękować pocałunkiem i uściskiem, ale nie zrozumiał mnie, więc mnie tylko odepchnął od siebie brutalnie i nawymyślawszy od pijaków zagroził mi aresztowaniem.

Zatoczyłem się i płacząc poszedłem dalej. To nieodczucie moich najczystszych intencji nappełnił mię taką odrazą do całego rodu ludzkiego, że pominawszy wszystkie inne względy już ten sam, żeby nie kolegować z ludźmi na ziemi

ostatecznie przyczynił się do mego samobójstwa.

Rano powróciwszy do domu powiesiłem się.

...Po chwili, kiedym się już trochę otrząsał ze swoją nową sytuacją, rozejrzałem się po pokoju. Widok był smętny. Umeblowanie mego mieszkania nie odznaczało się wytwornością, ponieważ w ostatnich czasach, kiedym zaczął pić zaniedbałem się i powysprzedawałem wszystkie rzeczy. Zostały mi tylko konieczne graty. To jest właściwie nie konieczne, bo potrzeb wogóle już nie miałem, tylko takie, za które nikt nie chciał nic dać. Wszystko harmonizowało ze sobą doskonale: szare, drżyste światło poranku, z pokojem, który przedstawiał obraz nędzy i rozpacz, brud nagromadzony po kątach z trupem wisielca. Była to naprawdę nora samobójcy, zmuszonego do odebrania sobie życia w najtańszy sposób. Nic dziwnego, że przejął mię pewnego rodzaju wstręt do własnej osoby. Dołączyła się jednak zaraz do niego i tkliwa żalność: bądź co bądź trzeba być bardzo nieszczęśliwym, żeby tak skończyć. Ot kołatałem się przez tyle lat po świecie, narażony na najrozmaitsze przykrości, borykałem się z losem na wszystkie strony, miałem ambycję dążenia pragnienia, nawet dawnymi laty dużo zapału i entuzjazmu i wszystko skończyło się na tem, że wiszę jak manekin pośrodku niezapłaconego

mieszkania i jutro gospodarz mnie będzie przeklinał a wszyscy znajomi zgodzą się na to, że zrobił com mógł najlepszego zrobić, bom tylko niepotrzebnie zabierał miejsce na świecie.

I przyszło mi na myśl, że mogę tak wisieć dzień, dwa, trzy i ani pies się o mnie nie zatroszczy. Stróżka zrażona moją niewypłacalnością od pewnego czasu, przestała mi usługiwać, więc nawet ona nie przyjdzie na górę. Znajomym będzie wszystko jedno czy mnie widzą czy nie, nawet lepiej, że mnie nie widzą, bo obecność moja zawsze jeśli ich nie narażała to przynajmniej próbowała narażać na koszt.

Na podwórzu tymczasem zaczął się już ruch na dobre. Słysząc było rozmowy, śmiechy, zamykanie i otwieranie drzwi. Nikt z całej kamienicy nie podejrzewał, że jeden z lokatorów już się przeniósł do wieczności i że ciało jego już stygnie na sznurku. I nikt się tem nie przejmie — myślałem. Jutro ci sami ludzie będą tak samo swobodnie rozmawiali i tak samo wesoło się śmieli. Nikt nie zauważy, że umarłem z ich grona.

Oczywiście całe to roztkliwienie nie miało najmniejszego sensu. Dziś zdaję sobie jasno z tego sprawę, ale w owej chwili, w parę minut po śmierci, nie zdołałem się jeszcze otrząsnąć z sentymentalnych nałogów, którymi ludzie uprzyjemniają sobie doczesną wędrówkę po ziemi. Przytem została we mnie spora doza próżności i byłem niezmiernie ciekaw, jakie

wrażenie śmierć moja wyrzuci na ludziach. Zbytniego żalu spodziewać się nie mogłem, bo prawdę mówiąc byłem tylko przeciętnym szubrawczyną i pijakiem... Ale każdy człowiek ma to przekonanie, że jest na coś na świecie potrzebny i że śmierć jego bądź co bądź tworzy lukę.

Dlatego też z niecierpliwością wyczekiwałem tego momentu, w którym świat dowie się o moim zgonie. Ale musiałem długo czekać. Dopiero, koło dziesiątej spostrzegłem na schodach tak dobrze mi znaną postać mego szewca. Człowiek ten na którego duszę składały się pierwiastki uporu i nadziei, szedł upominać się o należność za jakieś tam kamasze. Ponieważ pewna wrodzona dobroć serca nie zatarła w nim wcale brutalnego obejścia istoty niższej sfery, więc starałem się zazwyczaj unikać z nim rozmów, zwłaszcza w kwestjach tak drastycznych jak należność za buty i zamykałem się przed nim starannie na klucz.

Pile co ludzi za życia martwi to ich po śmierci cieszy.

I pierwszy raz powitałem go życzliwym okiem.

Ba, nietylko nie kryłbym się przed nim, ale byłbym mu nawet drzwi na oścież otworzył, gdybym się nie obawiał, że go tym wystraszę. Byłem jednak spokojny.

Miałem czas wystudytować jego przyzwyczajenia. Wiedziałem, że kilka razy zapuka, potem się odezwie:

— Panie Skrzycki, ja wiem, że pan jest w domu, czy to nie wstyd tak krzywdzić biednego rzemieślnika?

Później nachylił się, będzie się starał zajrzeć przez dziurkę od klucza do pokoju i...

Właśnie nie wiedziałem co się stanie dalej. W zwykłych razach spluwał, wymawiał dobitnie wyraz "cholera" i ciężko schodził z powrotem po schodach.

Wszystko odbyło się według programu. Najpierw pukał i kołatał, później usłyszałem za drzwiami sakramentalne:

— Panie Skrzycki, czy to nie wstyd tak krzywdzić biednego rzemieślnika?

I wreszcie przytknął oko do dziurki od klucza. Wpatrywał się dość długo, nagle poblądł i gwałtownie cofnął się w tył. A później jak opętany uciekł po schodach na dół.

WIDMO NĘDZY

Kiedy około godziny piątej po południu pan Płachciński szedł do Loursa na zwykłą poobiednią kawę, po drodze na Nowym Świecie i Krakowskim Przedmieściu zaczepiło go ze dwudziestu żebraków.

Pan Płachciński miał na sobie tak ciężkie futro, że poprostu niepodobieństwem było je dwadzieścia razy z rzędu odpinać, zwłaszcza, że po całodziennym deszczu miało się pod wieczór na przymrozek i wiatr porządnie podwiewał. Wszystkich więc, którzy go napastowali odsyłał do Opatrzności Boskiej, wierząc iż jej działanie, aczkolwiek na dalszy dystans obliczone, zawsze będzie skuteczniejsze niż skromny datek ludzki.

Ale ten cały szereg wynędzniałych i skamlających na różne tony postaci, który mu kwiecił drogę, niby wyrosłe z ulicznego błota widma upadku i nędzy, zdenerwował go w najstraszniejszy sposób. Pan Płachciński był człowiekiem niezmiernie na cudzą niedolę wrażliwym,

był nawet, jak sam mówił, nadwrażliwym i nie mógł znieść koło siebie widoku istot, którym czegoś brakowało. Nie lubił płaczących dzieci, żebraków, współczesnej literatury, went i wogóle wszystkiego, co mu mogło przypominać, że obok znośnej strony życia istnieje zupełnie już nieznośna. To jest nie to, żeby nie lubiał, jak pierwszy lepszy egoista, ale przez nadmiar współczucia właśnie chorobliwie się tem wszystkim przejmował i dlatego unikał.

Do cukierni wszedł w posepnym humorze. Chcąc się rozweselić i rozproszyć smutne

wrażenie, kazał sobie podać do kawy kieliszek koniaku. Lecz nic to nie pomogło. Im większe czynił starania, aby odzyskać swobodę myśli, tem stawał się coraz bardziej i bardziej smutny. Zwróciło to uwagę znajomych.

— Cóż to pan dobrodziej taki dziś zasepiony? — pytali przyzwyczajeni, że był zawsze pogodny i wesół.

Pan Płachciński smutno kiwał głową.

— Niema się czego w takich czasach weselić, panie... Poprostu niewolno.

— Tak, to prawda — potakiwano z uznaniem.

Pan Płachciński ożywił się nieco w swoim smutku.

— Coraz większy niedostatek, coraz większa nędza, aż strach pomyśleć co się dzieje... A co to będzie dopiero, jak mrozy przyjdą. A za rok? Z torbami pójdziemy wszyscy.

Znajomi z przejściem potakiwali. Każdy przytaczał jakiś przykład powszechnego zubożenia kraju. I wszyscy zgadzali się na jedno, że to dopiero początek, że będzie znacznie gorzej.

Pan Płachciński zmarszczył brwi i słuchał. Jego smutek zaczął się powoli przekształcać w dręczącą trwogę. Miał żonę i dzieci... Cóż z tego, że jest niby zamożnym człowiekiem. Przyjdzie rewolucja, zbombardują mu dom i za rok nie będzie miał kawałka chleba, żeby, do ust włożyć.

Stracił nagle wszelką chęć do dalszej rozmowy. Pożegnał znajomych, wsiadł w dorożkę i pojechał do domu. Piechotą bał się iść, żeby znowu nie napotykać tych żebraków, którzy mu tak krzyżując natrętnie przypominali o niedoli kraju.

Rozpaczliwie starał się odegnać czarne myśli. Przypominał sobie najweselsze przygody młodości i treść wszystkich operetek, na jakich zdarzyło mu się być w życiu. Naprawdę! Widmo nędzy wciąż majaczyło mu się przed oczami, zdawało mu się, że z mroku patrzą ku niemu wynędzniałe, zmarznięte, wykrzywione głodem ludzkie twarze, że poza sobą słyszy wciąż rozpaczliwe wołanie:

— Trzy dni nic nie jadłem... cztery dni nic nie jadłem... tydzień nic nie jadłem...

Zaczął żałować serdecznie, że wyszedł po południu na miasto.

— Wydał człowiek rubla i zdenerwował się za to tylko — mrucał. — Niedługo może nie będzie można na ulicy się pokazać, żeby nie odchorować.

W domu ciepła i miła atmosfera rodzinnego ogniska, która zawsze tak kojąco na niego działała, tego wieczoru rozgoryczyła go jeszcze bardziej. Bo, jedząc odgrzany z obiadu kotlet, pan Płachciński myślał o tem, że w tej samej chwili tysiące ludzi w Warszawie nie ma co do ust włożyć, a jak wiadomo przyprawa z myśli nigdy potrawie nie dodaje uroku.

I zaraz po kolacyi postanowił pójść spać.

Jego zły humor zwrócił uwagę żony.

— Czyś ty się nie przeziębił trochę? — zapytała go niespokojnie.

— Nie... nie... nic mi nie jest, — mruknął ze złością. — Głowa mię trochę boli, położę się wcześniej — dodał łagodniejszym tonem, chcąc załagodzić wrażenie pierwszej odpowiedzi.

I wyszedł strasznie zły na siebie za to, że był smutny.

Ale trudno usnąć o godzinie dziesiątej człowiekowi, nieprzyzwyczajonemu do tego, żeby się kłaść przed północą. Pan Płachciński przewracał się z boku na bok na łóżku... to zamykał oczy i chciał się siłą zmusić do snu, to zapalał papierosa a wciąż z trwogą myślało swej przyszłości, o przyszłości swojej żony i dzieci.

— Ja, jak ja... Ale co się z nimi stanie. I nagle genialna myśl zajaśniała mu w głowie. Jak wszystkie genialne odkrycia była bardzo prosta... Postanowił od

pierwszego popodwyższać lokatorom w swojej kamienicy komorne.
— Będą się awanturowali, ale to trudno. Skoro cały kraj w nędzy, to i ja się muszę ratować, mam żonę i dzieci. To jest nawet moim świętym obowiązkiem — myślał, coraz bardziej przejmując się świętością swego powołania.
I wreszcie udało mu się smutne wrażenia, które nękały go przez cały wieczór, rozproszyć. Już nie majaczyły mu się wychudłe twarze — wyparł je zwarty oddział wesołych cyfr. I licząc, obliczając usnął.
Nazajutrz rano obudził się w dobrym humorze. Mary pierzchły. I pierwsze jego słowa po przebudzeniu były.
— Mam tam gdzieś stare ubranie. Trzeba je będzie dziś posłać do jakiej redakcyi na głodnych. Tyle jest nędzy w Warszawie...

TALIZMAN

Pewnej nocy rodzicom, którzy czuwali nad kołyską śmiertelnie chorego dziecka, ukazał się zły duch i rzekł:
— Syn wasz wyzdrowieje, ale będzie umysłowo pracował na życie.
Są sytuację, w których niewiadomo jak się zachować. W takiej właśnie znaleźli się ci biedni ludzie. Z jednej strony radość, że dziecko im wyzdrowieje — z drugiej rozpacz nad psim losem, jaki mu życie zgotować miało. W rodzinie był już jeden literat.
Zły duch znikł i nie można go było nawet prosić o zmiłowanie. W pokoju została tylko po nim niemiła woń siarki.
Odtąd zaczęły się smutne dni.
Ojciec i matka zanosili każdego ranka i wieczoru modły do wszystkich złych i dobrych duchów, odbywali pielgrzymki do cudownych miejsc, ale nic to nie pomagało. Dopiero w jakiś rok potem jedna sąsiadka poradziła

matce udać się do starej wróżki, która mieszkała na polance w lesie i znała wszelkie czary.
— Jeśli ona nie pomoże, nikt nie pomoże.
Dokąd-żeby zrozpaczona matka nie poszła, gdy od tego miało zależeć całe szczęście jej jedynaka!... Posiadała w kasie pocztowej trochę zaoszczędzonych pieniędzy — wyjechała z westchnieniem i udała się tramwajem za miasto, a stamtąd piechotą na polankę w lesie.
Szła długo, dzień był upalny i już dobrze miało się ku zachodowi, gdy ujrzała wreszcie chatkę na kurzej łapce, przed którą dwa czarne koty leżały na straży. Serce zaczęło jej silnie bić w piersiach i z wielką nieśmiałością zbliżyła się do drzwi.
Wróżka, była to stara kobieta o niemiłym wyrazie twarzy. Podobna zresztą w ogólnych zarysach do czarownicy z drugiego aktu "Jasia i Małgosi".
Wysłuchawszy żalów zrozpaczonej matki pokiwała smutnie głową. Potem zeszła na chwilę do piwnicy i wnet wróciła niosąc ze sobą nie wielki flakonik napełniony różowym płynem.
— Niech to pani da dziecku — rzekła i powtórzy trzy razy nad niem, gdy wypije: "Brzydki ten ptak co własne gniazdo kala." Wówczas wszystko odmieni się na dobre.

Uszczęśliwiona matka nie wiedziała, jak ma wroźce dziękować. Upadła przed nią na kolana i całowała ją po rękach. I po pewnej walce wewnętrznej dopiero ośmieliła się zapytać, co jest we flaconie.
— Jest w nim — odrzekła uroczytym głosem czarownica, podnosząc kościstą dłoń w górę — zgęszczony ekstrakt głupoty ludzkiej. Kto go wypije, ten już na całe

życie pozostanie głupim, głupim jak but, jak kamień, beznadziejnie; tryumfalnie głupim... A ponieważ wasz syn ma pracować umysłowo, więc to jedno może mu zapewnić powodzenie, majątek i spokój na starość... Bo pisarz wówczas zyskuje miłość swych współbraci, gdy potrafi poruszyć najdroższe struny ich serc, a cóż jest człowiekowi miłsze nad jego głupotę?

Uszczęśliwiona matka wróciła do domu.

Wszystko to zakrawa na bajkę... I sam nigdy bym temu nie wierzył. Ale dziś właśnie byłem na uroczystości jubileuszowej znakomitego pisarza. Była to piękna, podniosła uroczystość. Wszyscyśmy się całowali i płakali, czcząc zasługi tego, który przez kilkadziesiąt lat stał wytrwale na stanowisku jak żołnierz pod bronią i gdy ktokolwiek coś mądrego ośmielił się przed nim powiedzieć... ach nie, nie powiedzieć ale szepnąć — zamykał mu usta marmurowem "Brzydki ten ptak co swe gniazdo kała".

I przekonaaliśmy się z czasem, że nikt tak nie umiłował kraju i wszystkich jego

tradycji, jak ów mąż właśnie — owo oplakiwane niegdyś przez rodziców nad kolebką dziecko.

Piękna była uroczystość, wzruszająca serdecznie.

Do tej chwili mam łzy w oczach.

SZCZĘŚLIWY I NIESZCZĘŚLIWY

Pewien młodzieniec oświadczył się o rękę panny i został przez rodziców jej z zachowaniem wszelkich form towarzyskich wyrzucony za drzwi. La nuit porte conseil, powiedział sobie na drugi dzień rano i powiesił się na mocnym sznurku. A panna wyszła za mąż za innego, który, przeżywszy z nią szczęśliwie lat trzydzieści, również umarł.

Dusze obu rywali spotkały się na tamtym świecie, i Szczęśliwy podszedł z wyciągniętą dłonią ku Nieszczęśliwemu.

— Zapomnijmy dawnych uraz! — zawołał. — Czuję, że cię skrzywdził, bo ja naprawdę kochałem, ale i ja ją kochałem, a ona mnie wybrała. Nie jestem temu winien.

Nieszczęśliwy uśmiechnął się ironicznie.

— Zawracanie głowy, kochany przyjacielu — odparł, podając mu dłoń. — Mogę ci rękę uścisnąć i żyć nadal z tobą w zgodzie, ale nie opowiadaj mi, żeś mnie skrzywdził. Czemże

jest czterdziestoletnie nawet szczęście małżeńskie, w porównaniu z temi miliardami lat, które musimy przeżywać jako wdowcy. Świeżo umarł i jeszcze nie wiesz, na czym polega wieczny kąt widzenia.

— Brawura — pomyślał Szczęśliwy, niezadowolony, że jego szlachetne porywy dawny przeciwnik tak zlekceważył.

Ale żyli ze sobą w zgodzie, oczekując sądu ostatecznego.

I wreszcie dzień ten nadszedł.

Wszyscy grzesznicy zgromadzili się w miejscowości nazwanej zdawna doliną Józefata i, przy operowej trochę dekoracji piorunów i błyskawic, wyszedł na scenę Archanioł.

Szczęśliwy, który stał w pierwszym szeregu zebranych dusz, rzucił się skwapliwie ku niemu i na kolanach zaczął spowiedź swoich grzechów.

— Przemennie ten człowiek targnął się na swoje życie.

Archanioł spokojnie wysłuchał jego łkań, a potem odparł miękkiem głosem:

— Jeżeli myślisz, że ja na to jestem Archaniołem, żebym sobie zaprzętał głowę

takimi głupstwami, jak wasze ziemskie sprawy, to się grubo, mój panie, mylisz. Nie obawiaj się zresztą kary; bo ci powiem, że i zasłużonych nie będę nagradzał. Dość. Poraz pierwszy, drugi i trzeci oznajmiam koniec świata.

Poczem nagle zrobiło się ciemno i wszyscy znikli. Szczęśliwy i Nieszczęśliwy, ma się rozumieć, również. A szkoda, bo wówczas dopiero mogli by zacząć naprawdę żyć w zgodzie i przekonać się ostatecznie, że szczęściu małżeńskiemu wcale nie stoi to na przeszkodzie: czy się kto powiesi przed ślubem, czy po ślubie. Ludzie niestety, do najmądrzejszych wniosków dochodzą wówczas, kiedy ich niema.

DOBRE SERCE

Było sobie raz takie jedno nasze polskie jasnowłose dziewczę, jedno z tych dziewcząt, które mają samo serce w sobie i nieomal, że wszystkie funkcje fizjologiczne za pomocą serca spełniają — nie mówiąc już o takich rzeczach, jak myślenie.

Wszyscy się niem zachwycali.

— Jakie to złote, jakie pocziwe dziecko... Toż to dopiero wielki los na loteryi życia wygra, kto tę stokrotkę kiedyś za żonę weźmie.

A dziecko rosło szczęśliwie, nabierało ciała i kształtów i od najmłodszych lat miało jedno tylko pragnienie, aby czynić dobrze dookoła siebie. Gdy szło z mamą na przechadzkę, a po drodze nawinał się ubogi żebrak, zaraz zaczynało się napierać o grosz, aby go dać biednemu.

Aż matka, która sama zresztą była dobroczyzną osobą i kilka razy do roku siadywała

na wentach, o czym pisały pisma, musiała je przed zbytnią rozrzutnością przestrzegać.

— Człowiek nie tylko czuć powinien sercem, ale i rachować. Do grosika grosik a zbierze się trzosik. Gdyby każdy dawał ubogiemu jałmużnę, to ubogi stałby się wkrótce właścicielem kamienicy na jednej z pierwszorzędnych ulic i straciłby wszelką zasługę przed Panem Bogiem. — Pamiętajmy — że dobrze zrozumianem bogactwem niektórych ludzi jest właśnie ich bieda.

Gdy dziewczę przeszło z rodzaju nijakiego w zdecydowanie żeński, w gościnnych salonach jej rodziców zaczęło się zjawiać mnóstwo młodzieży.

Uroczej pannie wszyscy składali hołdy, za spojrzeniem jej fijołkowych oczów każdy gotów był lecieć jak piłka od tenisa, podbita wprawną dłonią... Boże, ileż to było intryg, żeby jej nuty przewracać gdy grała na pianinie, albo rakiętę podać!... Włosy jej zdawały się olśniewać złotym swoim blaskiem, jak majowe słońce tych, rozkochanych młodzieńców. Wreszcie dwóch zastąpiło jej raz drogę w ogrodowej alei.

Obaj z całem zaślepieniem, jakie stwarza miłość, wryli kort swoich kolan w ostry żwir ścieżki.

— Życ bez ciebie nie mogę! — zawołał pierwszy. — Bądź moją. Mam wielki talent i pragnę ci go złożyć w ofierze.

Drugi, słysząc to, zasepił się.

— Życ bez ciebie nie mogę! — zawołał. — Ale cóż ja ci wielkiego w ofierze przyniosę? Nic nie mam — mam tylko mały majątek.

Uroczą panna ze wzruszeniem wysłuchała obu oświadczeń.

I oczywiście namyślać się nie mogła. Mając do wyboru pomiędzy wielkiem a małym — poszła za nieodzownym popędem dobrego serca i wybrała to, co bardziej na litość zasługiwało — małe.

Za to też Pan Bóg jej poszczęścił. Żyli z mężem bardzo szczęśliwie, pomnożyli w czwórnasób jego dochody i doczekali się liczego potomstwa, które było podporą ich opromienionej zasługą żywota starości i ozdobą srebrnego wesela.

Na zakończenie czytelnicy pragną zapewne wiedzieć, co się stało z dalszymi bohaterami tej opowieści. Otóż człowiek, który miał duży talent, rozpił się i pod wpływem zgubnego nałogu nietylko nic nie stworzył, ale się stał jednym z tych upadłych indywiduów, które ukłonami swymi na ulicy w zakłopotania wprowadzają. Dlatego też dziewczynka o dobrym sercu, będąc już zresztą matką o dobrym sercu, ile razy go spotkała przypadkiem, zawsze zaczynała pilnie czytać szyldy nad wystawami sklepowymi. I oglądając się za pijakiem, mogła uprzytamniać sobie z dużą dozą wewnętrznego zadowolenia:

od jakiego to ciężkiego losu uchroniło ją to właśnie, że poszła za popędem swego dobrego serca. Bo, kto umie sercem myśleć, czuć i rachować, temu zawsze się w życiu poszczęści.

PRAWDZIWA BAJKA O KOPCIUSZKU

Były trzy siostry: najstarsza, młodsza i najmłodsza. Dwie starsze matka kochała bardzo, pieściła je i kupowała im ładne sukienki z niedrogich materyałów.

Najmłodszej nie kochała wcale. Może dlatego, że ta najmłodsza była córką jej męża. W rodzinie wszystko jest możliwe.

Dwie starsze córki żyły sobie wesoło na świecie, chodziły z matką do teatrów, na bale, na rauty, na koncerty i znały wielu przystojnych młodzieńców, w których towarzystwie często się musiały czerwienić. A biedny Kopciuszek (wszak domyśliliście się już, że tu o Kopciuszku mowa) spełniał przez ten czas najcięższe domowe posługi, zamiatał kuchnie, mył talerze, ścierał kurze i w dodatku nigdy dobrego słowa od niego nie usłyszał.

Tak to bywa na świecie, że jednym szydła gołą a inny najostrzejszą brzytwą angielską się skaleczy.

Pewnego razu przyjechał do Warszawy bogaty królewicz, który miał dwie cukrownie na Wołyniu a był młody i przystojny. W sam raz na męża dla panny, która temperamentem może to nadrobić, czego jej w papierach wartościowych braknie.

Wydawano dla niego wielki bal i na bal ten wybierała się matka z dwiema starszemi córkami. Od samego świtu był w domu rwetes i urwanie głowy. Nie zawsze miłość macierzyńska w tkliwych słowach się wypowiada, więc matka brzydko wymyślała córkom; siostry, klóciły się pomiędzy sobą, że to jedna zabrała drugiej gorset, a to róż, a to bielidło i ostatecznie za wszystko pokutować musiał Kopciuszek.

A ona biedactwo jeszcze nigdy w życiu nie była na balu. Ach, bal, bal! muzyka, światło, zgrabni panowie, strojne panie i upajający walc w silnych objęciach męzkich aż do zawrotu głowy.

Dla niej to wszystko było tylko marzeniem długich, bezsennych nocy, snem tak czarodziejskim, że nawet nie wierzyła, aby się mógł ziścić kiedy...

Ze łzami w modrych oczach kręciła się po mieszkaniu, chwytając urywkowo rozmowę starszych sióstr o królewiczu.

- Jaki on piękny!
- A jaki silny!
- Ma dwieście tysięcy rubli rocznego dochodu.
- Mógłby się mocować w cyrku.

To wszystko podsycalo jeszcze jej tęsknotę. Natura tak mądrze urządziła świat, że człowiek biedny może ile mu się podoba marzyć o bogactwie, głodny o jedzeniu a nieszczęśliwy o szczęściu. Więc i Kopciuszek marzył, marzył, że oto jedzie z matką na ten bal, że jasny królewicz staje przed nią olśniony, zaprasza ją do mazura, do kontredansa, do wszystkich wirowych tańców, aż po sali szmer zdziwienia idzie i wreszcie o błękitnym świtanu przy mdlejących tonach ostatniego walca, silnie przycisnąwszy ją do łona, powiada:

— Czy chcesz być moją?

A potem, pochyliwszy usta do jej ust przez kilka chwil oddycha ostrym zapachem eliksiru benedyktyńskiego, czyli jak się wyrażają poeci, pije rozkosz i słodycz najwyższą na ziemi. Ponieważ bal dużo kosztuje, więc tego dnia nie było w domu obiadu. Jak wiadomo ze statystyki społecznej głód dodaje ludziom odwagi. Więc nagle Kopciuszek upadł przed matką na kolana i całując jej wyprawowe fil d'ecossy, zawołał z rozpaczą w głosie:

— Mamo, weź mnie na ten bal ze sobą... niech i ja jasnego królewicza zobaczę, niechaj raz w życiu wytańczę się i wyflirtuję...

Ale matka i siostry wybuchnęły tylko szyderczym śmiechem:

— Kopciuszek chce iść na bal.

— Nie, to paradne!

— Może w tych brudnych łachmanach?

— To nietylko próżniak, ale jeszcze głupie i bezczelne w dodatku — zawyrokowała wreszcie matka, zamknęła Kopciuszka w kuchni i, ochłoniwszy po niemiłej scenie, pojechała z córkami wynajętą karetą na bal.

A Kopciuszek zanosił się od płaczu, wił się po podłodze, bił głową o ścianę i gdyby miał ług pod ręką, kto wie co by się stało.

Nagle ktoś cicho zapukał do drzwi kuchni.

Kopciuszek otworzył. W sieni stała pani Figowa, lokatorka zajmująca w tej samej kamienicy cztery pokoje na drugim piętrze, osoba już niemłoda, ale ze śladami ognistej piękności na twarzy, doświadczona i dobra.

Słyszając z sieni płacz Kopciuszka, przyszła ją pocieszyć:

Popatrzyła, pokiwała głową...

— Dlaczego panienka tak płacze? — odezwała się dobrotliwym tonem. — Taka młoda, ładna panienka nie powinna nigdy płakać. Powinna mieć dużo brylantów, ładne sukienki i codzień się wesoło bawić i jeździć w Aleje na spacer. Czy Pan Bóg na to daje ludziom urodę, żeby się przepracować i przepłakać?...

Pokrzepiony temi słowami Kopciuszek, opowiedział spokojniej pani Figowej wszystkie swoje zgrzyoty. A gdy wspomniał o jasnym królewiczu z Wołynia, znów mu łzy jak groch duże popłynęły z modrych oczu.

Ale pani Figowa za to uśmiechnęła się wesoło:

— Abgemacht! — zawołała, klaszcząc w dłonie. — Obetrzyj Kopciuszku oczęta. Ja tego królewicza dobrze znam i zapoznam cię z nim jutro. Trzeba się tylko trochę na to przyodziać, ale to już ja sama pomyślę o wszystkim. I nazajutrz Kopciuszek był już pięknie ubrany, a w dwa dni potem poznał królewicza. I cóż powiecie? Królewicz tak się w niej zakochał odrazu, że jedną całą cukrownię poświęcił na osłodzenie jej smutnego życia. Dziś Kopciuszek jest wielką panią, ma prześliczne mieszkanie z łazienką, jeździ codziennie prawie własnym powozem na spacer i co najważniejsze nie wstydzi się swoich sióstr.

Bo one obie powychodziły zamaż za biednych urzędników, żyją w niedostatku i nie wiedzą nawet co to jest pedicure. Pewno nie słyszały nawet, że takie słowo istnieje. Kopciuszek wspomaga siostry, daje im swe znoszone sukienki, za chłopca jednej oplaca wpis i można bez przesady powiedzieć, że one ją kosztują do kilkuset rubli rocznie, ale Kopciuszek nie wymawia im tego, przeciwnie na Nowy Rok i na każde uroczyste święto odwiedza obie, bo kobieta nigdy nie powinna się wstydzić uczciwego otoczenia z jakiego wyszła.

Tak to życie plecie się czasami jak bajka. I wbrew wszystkiemu, co mogą powiedzieć cynicy i pesymiści, jest jakaś siła wyższa, która czuwa nad marzeniami ludzkimi i potrafi zamieniać lzy na brylanty.

BOMBA

Pan Karol z pewną niechęcią odłożył pisma w których nie było ani jednej sensacyjnej wiadomości i powoli zaczął pić kawę.

W tej samej chwili do kawiarni wszedł jego kuzyn, początkujący literat Skulski. Ujrawszy zdaleka Skulskiego, pan Karol szybko pochwycił do ręki gazetę i starannie się nią osłonił, pragnąc uniknąć wymiany ukłonów. Dziwnie nie lubiał tego "literaty", jak go z przekąsem nazywał, a który według jego opinii nie tyle był literatem ile próżniakiem i to nie początkującym bynajmniej a dawno przez wszystkich uznanym.

Zupełnie odmiennego zdania była żona pana Karola, wielka i doświadczalna miłośniczka literatury i sztuki: to stale doprowadzało małżeństwo do sprzeczek. Gdy pan Karol zbyt złośliwie się o kuzynie wyrażał, pani Julia stawała w jego obronie.

— Czego od niego chcesz?... Zdolny chłopak, wyrabia się powoli.

— A tak, wyrabia po knajpach... Dziwię się tylko, że są redakcje, które drukują te jego bazgroty.

— Ma talent.

— Cóż go tak bronisz?

Po tem pytaniu pani Julia zmieniała zawsze temat rozmowy.

Skulki, znając niechętnie usposobienie kuzyna odwiedzał go zrzadka, a przy spotkaniu na ulicy poprzestawał na ceremonialnej wymianie ukłonów. Pan Karol jednak do tego stopnia był mu niechętny, że i tych ukłonów nie lubiał. Dlatego też zasłonił się gazetą.

Ale Skulski nie zwracał na to uwagi. Nieproszony podszedł, przysunął sobie krzesło, usiadł i tak się blisko pochylał, że pan Karol uczył jego oddech na twarzy.

— Czem mogę panu służyć? — zapytał, odsuwając się manifestacyjnie.

Skulskiego to nie stropiło. Jeszcze bardziej pochylał się ku panu Karolowi.

— Dobrze, że pana spotykam — zaczął tajemniczym tonem — wszak państwo mieszkają po dawnemu na Nowogrodzkiej, między Marszałkowską a Kruczą?

— No tak.

— Która jest teraz? Skulski spojrzął na zegarek.

— Dziesięć minut po piątej. Niech pan przed ósmą do domu nie wraca.

Skulski miał minę tak uroczystą, i mówił tak tajemniczym półgłosem, że pan Karol mimowoli zaczął się czegoś obawiać.

— Ale dlaczego? Niech mi pan wytłumaczy...

— Będzie bomba — dodał ciszej Skulski.

I wykonał ręką w powietrzu, jakiś groźny ruch, który miał uzmysławiać rzucenie bomby. Pan Karol pobladł.

— Bomba... na Nowogrodzkiej!, co oan plecie — odezwał się po chwili.

— Jakto co plotę? — zachnął się Skulski. — Wiem, że pan w tamtych stronach mieszka i uważam za swój obowiązek przestrzedz pana. To chyba zrozumiałe.

— Ależ ma się rozumieć, serdecznie panu dziękuję — przerwał mu żywo pan Karol, wyciągając dłoń do uścisku. Ale może to plotka.

— Fakt.

— I na kogo?

Skulski wymienił nazwisko.

— I rzuca?

— Mogą rzucić, mogą nie rzucić. Ale w każdym razie przestrzegają — dodał, kładąc szczególniejszy nacisk na ostatnim wyrazie. Gdyby kto chciał ryzykować, to oczywiście może pójść, ale a nuż trafi na samą chwilę właśnie... Fiut!

I Skulski zakreślił ręką łuk w powietrzu.

— I to teraz?

— Między piątą a ósmą. Może już w tej chwili, może za kwadrans, może za godzinę. Przecież bomba to nie pociąg, żeby można co do minuty oznaczyć.

Pan Karol blade był jak trup. Naraz porwał się rozpaczliwie rękami za głowę.

— Ależ moja żona może wyjść z domu.

— Prawda. Niech pan w tej chwili siada w dorożkę i jedzie. Może pan jeszcze zdąży.

— Jakto? Przecież już jest po piątej — wybełkotał przerażony pan Karol.

— Tak... no... Skulski zamilkł i nerwowo zatarł ręce.

— Drogi panie, niech też mi pan poradzi, co ja mam robić? Jabym poszedł, ma się rozumieć, w tej chwili — no, ale niech mnie Boże uchowaj jakie nieszczęście spotka po drodze. Moja żona nie przeżyłaby tego. Jestem, pewien, żeby nie przeżyła... I jakżeż ja mogę kobietę na śmierć narażać?

Pan Karol mówił to wszystko już nawpół z płaczem prawie.

Skulski milczał ponuro.

— Mój drogi, poradź, ratuj! — wołał pan Karol, zapominając już o niechęci jaką czuł do kuzyna i przechodząc z panie na ty.

— Ja pojadę — rzekł nagle Skulski, wstając szybko od stołu.

— Nie boisz się?

— Nie... A zresztą... To jest moim obowiązkiem. Jestem młody, sam, byłoby małodusznością kryć się przed niebezpieczeństwem, skoro chodzi o uratowanie czyjegoś życia.

Skulski wypowiedział te słowa tonem bohaterskiej rezygnacji. I wyprostowawszy się, wysunął pierś naprzód jakby poddając ją już pod strzały.

Pan Karol ze łzami w oczach rzucił mu się na szyję.

— Idź... I zostań u nas, ja wrócę wieczorem, jak się już wszystko uspokoi. A ty siedź. Pamiętaj, że niepotrzebnie narażać ci się nie wolno.

Ucałowali się i Skulski wyszedł.

Pan Karol siedział przez kilka chwil oszołomiony, nie umiejąc sobie jeszcze zdać sprawy z tego, co zaszło. Czuł, że uniknął wielkiego niebezpieczeństwa, może śmierci, i że stało się to dzięki Skulskiemu. Wyrósł on w jego oczach na dzielnego człowieka.

Czekał i kręcił się niespokojnie na miejscu. Spoglądał na zegarek, to znów wlepiął oczy w wejściowe drzwi, spodziewając się, że lada chwila ktoś wejdzie i przyniesie wiadomość o wybuchu bomby. Ale nikt jej nie przynosił, a czas płynął nieskończenie wolno. Skinieniem ręki przywołał do stolika kelnera.

— Czy Antoni wie, że dziś mają bombę rzucić?

— Nie, gdzie? — zadziwił się kelner.

— Na Nowogrodzkiej. Przestrzegali, żeby nie chodzić między piątą a ósmą.

— I, abo to raz tak przestrzegają — mruknął stary kelner, kręcąc nieufnie głową. Ten jego sceptycyzm udzielił się i panu Karolowi. Może Skulski blagował — pomyślał — a ja się dałem wziąć na kawał, jak głupiec. Ogarnęło go przykre rozdrażnienie i siedział niezdecydowany, nie wiedząc co dalej począć.

— W każdym razie lepiej się nie narażać — postanowił wreszcie. — Jeśli mnie nawet Skulski w błąd wprowadził — pocieszył się — to działał w dobrej wierze i postąpił jak na porządnego człowieka przystało.

Kelner tymczasem powtórzył kilku gościom zasłyszaną nowinę i pogłoska szybko rozeszła się po kawiarni. Wreszcie za pośrednictwem jednego ze znajomych wróciła do pana Karola.

— Słyszał pan, bombę mają dziś rzucić...

— Aha, więc i pana przestrzegali? — zapytał żywo.

— Mnie nie, ale podobno przestrzegają, żeby po Nowogrodzkiej nie chodzić. To w pańskich stronach.

— Właśnie. Ja się w kawiarni dowiedziałem. Uprzedziłem żonę, żeby na krok nie ruszała się z domu, a sam nie mogę wrócić.

— Oczywiście, lepiej przeczekać.

To rozproszyło już ostatecznie wszelkie wątpliwości pana Karola. Był przekonany, że Skulski mówił świętą prawdę i podziwiał w myśli dokładność jego informacji. I aż się pocił ze zdenerwowania, oczekując na wiadomość o wybuchu bomby. Pił bez przerwy czarną kawę, palił papierosa po papierosie i co chwila chorobliwie spoglądał na zegarek. W miarę, jak się zbliżała ósma, niepokój jego wzrastał. Miał już tę pewność co prawda, że Skulski zdążył uprzedzić żonę, żeby nie wychodziła z domu, ale bądź co bądź bał się o nią. Na szczęście do stolika, przy którym siedział, przysiadło się kilku znajomych, zaczęli gadać o tem o owem. Pan Karol wciągnął się powoli w wir rozmowy i to go uspokoiło.

Wszystkim znajomym opowiadał szczegółowo, że właśnie w tych stronach, gdzie mieszka, lada chwila mają rzucić bombę i, że on cudem prawie uniknął śmierci. Dzięki temu stał się bohaterem chwili. Słuchano go z uwagą. A on tłumaczył zebranym, dlaczego król Alfons hiszpański uniknął śmierci. W końcu nabrał takiej pewności siebie, że zaczął się już o bombach odzywać z lekceważeniem. Potem jeden ze znajomych zaproponował mu dla uspokojenia nerwów partycję bilardu i pan Karol chętnie się

na to zgodził. Zagraли jedną, drugą, to go uspokoiło rzeczywiście, a tymczasem czas krytyczny przeminął. Kiedy skończyli grę było już wpół do dziesiątej.

— Nie udało im się widocznie dzisiaj — pomyślał pan Karol i uspokojony wszedł do dorożki. Odzyskał swój zwykły, pogodny humor.

— Nareszcie spojrzeliśmy sobie oko w oko z rewolucją — myślał, poświstując wesoło.

To poczucie bezpieczeństwa, którego mu się udało tak szczęśliwie uniknąć, napełniało go dumą. I własny dom wydał mu się dzisiaj tak rozkoszny jak nigdy, zaniepokoił go tylko zmieniony wygląd żony.

— Co ty masz takie podsiniałe oczy? — zapytał.

— Ja... zdaje ci się... — odparła żywo pani Julia i usunęła się w cień.

Ale po chwili dodała:

— A może i mam. Nie uwierzysz, jak mnie głowa bolała i nawet jeszcze boli. Muszę się zaraz położyć.

— Tak, połóż się, takie nerwowe wyczekiwanie to męczy — potwierdził ze współczuciem pan Karol. — Całe szczęście, że ta bomba nie wybuchła jednak — dodał po chwili.

Pani Julia nic na to nie odpowiedziała. Przeciągnęła się leniwie, a na wargach jej wykwitł błogi uśmiech.

— Tak, to dobrze się stało, że zamach się nie udał — powtórzył zamyślony pan Karol.

Pani Julia myślała co innego. Myślała, że zamach udał się świetnie. Ale mąż jej myśli zgadywać nie umiał, więc ta różnica zdań wyjątkowo nie wywołała sprzeczki. I oboje poszli spać zadowoleni.

LATO W WARSZAWIE

Sierpień. .

I.

Wieczór. Zmęczony całodziennym upałem człowiek nie wie co ma ze sobą począć. Siedzieć w domu? Zwaryować można. Wyjść? Jakoś nic nigdzie nie ciągnie. Na ulicach tak samo duszno jak w mieszkaniu. Wszyscy znajomi się porozjeżdżali i poprostu niema słowa do kogo zagadać.

Szczęśliwi ludzie. Jak to musi być rozkosznie tak sobie teraz siedzieć gdzieś na werandzie willi nad morzem, albo być w Zakopanem, albo ostatecznie poco, daleko szukać?... Nawet i tu, gdzieś pod Warszawą, byle mieć trochę lasu i świeżego powietrza.

Przez otwarte okna dolatuje z ulicy hałaśliwy turkot dorożek i wrzask dzieciaków, które wyprawiają harce przed bramami. W sąsiednim mieszkaniu ktoś zaczyna grać na fortepianie "Ach miłość, miłość jedy-y-na..." Leniwym ruchem ręki sięga się po zegarek.

— Wpół do dziewiątej...

— Trzebaby wyjść na miasto.

O kilkadziesiąt kroków przed bramą zastępuje drogę pierwszy żebrak. Znajoma zresztą postać. Wysoki, rosły mężczyzna, który codziennie od dwóch miesięcy umiera na tem samym miejscu z głodu. Mimo to żyje. Widocznie i umieranie z głodu może być niezłą profesją.

— Rzemieślnik bez pracy — mówi, przeciągając sylaby — od dwóch dni nic nie jadłem, przed tygodniem dopiero z cytadeli mnie wypuszczono...

Pospiesznie szuka się w kieszeni miedziaka. Może nie tyle dla pewności, że grosz dany ubogiemu powróci się w niebie, ile dla niepewności, gdzie się zwróci kułak dany przez ubogiego.

— Dzwoniec Polski, pośmiewisko narodowej demokracji!...

— Nie chcę.

— Niech pan kupi. Jeszcze nic od samego rana nie jadłem.

— Wynoś mi się zaraz!

— Ja nie chcę pieniędzy, niech mi pan chleba kupi.

Dobrze pierwszy raz, drugi, trzeci, czwarty. Ale przy piątym ogarnia już zdenerwowanie. Zaczyna się, jakby wyścig z przeszkodami.

I wreszcie człowiek wpada do pierwszej lepszej kawiarni.

* * *

Znajomy...

Siedzi przy stoliku i czyta "Kuryer".

— Dzień dobry. Cóż tam w "Kuryerze?"

— Pustki. Niema co czytać.

I zniechęconym ruchem ręki odkłada pismo.

— Można przejrzeć?

— Proszę.

Rzeczywiście przeraźliwe pustki. Jakieś artykuły, korespondencje, uczone traktaty... A wiadomości nic. Przez cały dzień nikogo nie zabili, nie napadnięto na żadną kasę, ba, nawet petardy pod tramwaj nie podłożono. — Spokojny dzień...

— Ii, gdzieś tam kogoś zabić musieli. Bez tego się nie obeszło... Czy pan myśli, że te pisma wiedzą wszystko, co się w mieście dzieje... Ani połowy wypadków nie zamieszczają. Sam, kiedy to — onegdaj, przejeżdżałem tramwajem przez Nalewki i widziałem dwa trupy na chodniku. Naumyślnie wieczorem przeglądałem Kuryery... W żadnym wzmianki nie było.

Przekonywująco mówi...

— Tak. Kogoś musieli zabić przecież...

Po trzech kwadransach zjawia się chłopiec.

— Pan "stalował?"

— Przynieś mi mazagranu.

— Mazagranu nie podajemy.

— Dlaczego?

— Strajk cukierniczy.

— Więc cóż z tego?

— Delegaci byli. Pozwolili nam mieć otwarte, ale tylko pod tym warunkiem, iż nie będziemy wyrobów cukierniczych podawali.

— A czarnej kawy można dostać?

— Czarnej kawy to można. Niezbadane są drogi i ścieżki, które ludzkość dąży do postępu...

I ponad mleczarnią unosi się senna nuda wieczoru.

— Patrz pan, jakie już pustki w Warszawie. Przecież w taki dzień, jak dziś, powinno być pełniutko. A tu... o, co stolików wolnych.

— Kto może, wyjeżdża.

— I ma rację.

Naraz u wejścia pewne ożywienie. Nadpływa nowa fala ludzi, wnosząc z sobą nieco gwaru i śmiechu. Na kapeluszach, na ubraniach, mają tu i owdzie maleńkie, kolorowe krążki papieru.

— Aha, to z Doliny. Już się zabawa skończyła.

I znowu leniwym ruchem ręki sięga się po zegarek.

— Dochodzi jedenasta... Trzeba będzie wracać.

* * *

Późnym wieczorem ochłodziło się wreszcie. Oddychać można. Przez otwarte okna płynie do pokoju świeży, przyjemny chłód.

Na ulicy coraz większa cisza. Życie powoli zasypia. Czasami zaturkocze dorożka, doleci odgłos kroków, echo rozmowy. Jakiś zapóźniony przechodzień gwizdze

"Czerwony sztandar". Nagle w oddali krzyk:

— Nadzwyczajny dodatek. Okropny wybuch bomby! Środkiem ulicy biegnie posłaniec z pękiem papieru w ręce.

Ze wszystkich okien wysuwają się głowy ludzkie.

— Dodatek...

— Dodatek...

Ożywiła się na chwilę ulica i znowu zapada w sen.

Ludzie czytają i kładą się spać. "Okropny wybuch bomby". Można zasnąć

spokojnie... Życie toczy się zwykłym trybem.

II.

Trzy kwadransy na jedenastą. To godzina, w której rozbawiony warszawiak zastanawia się dopiero nad pytaniem: co zrobić z resztą wieczoru? Na ulicach wro jak w ulu, a w kawiarniach trudno miejsca znaleźć. Słynieśmy przecież z tego, że nie lubimy wcześniej spać chodzić.

Ale nie dzisiaj.

Dziś w najbardziej ożywionych nawet zwykle punktach martwo i głucho. Zrzadka zaturkocze dorożka, rzadziej zadźwięczą na chodniku kroki zapóźnionego przechodnia. Sunie śpiesznie wypatrując przed sobą ulicę.

— Stać! Ręce do góry.

W świetle latarni zabłysnęły złowrogo bagnety. I "obywatel" zatrzymuje się jak wryty, w milczeniu wyciąga ku niebu ręce. Temu ruchowi można by nawet przypisać symboliczne znaczenie...

I podczas gdy dwóch żołnierzy trzyma nastawione do strzału karabiny, a trzeci rewiduje mu kieszenie, on uśmiecha się niewyraźnie, powiedzmy poprostu — głupio. Ot taka sobie niewinna komedia, zagrana wobec własnej godności ludzkiej. A przytem jest bardzo blady.

Bramy zamknięte, restauracje zamknięte, kawiarnie zamknięte.

Miasto umarło.

Ale w oknach wszędzie prawie świeci się światło. Więc ludzie nie śpią. Za głuchymi murami toczą się ożywione, rozgorączkowane rozmowy. Jak w więzieniu.

— Dzisiaj podobno znowu zastrzelili jednego żandarma.

— Sam na własne oczy widziałem... Przed szpitalem Świętego Ducha... Wsiadł z dorożki, podniósł ręce do góry i wtedy żołnierz uderzył go bagnetem w piersi.

— A ja widziałem, jak na Pańskiej rewirowego zastrzelono. Taki sobie facet, nawet dość przyzwoicie ubrany, wyglądał na rzemieślnika, w meloniku na głowie.

Podszedł z tyłu... trach... trach... trach i najspokojniej przeszedł na drugą stronę ulicy. Ale to, jakgdyby nigdy. nic. Obejrzał się jeszcze dwa razy. Tu ludzie się zbiegli, mówili że jeszcze żyje, ale ja się nie chciałem zatrzymywać.

— Ma się rozumieć w takich razach najlepiej uciekać.

— Mnie się też wczoraj udało szczęśliwie umknąć przed rewizją na Marszałkowskiej.

...Jeszcze o niczym nie wiedziałem. Idę, a tu kordon żołnierzy. Wpadłem do sklepu i przeczekałem. Przeszli. Właściciel nie bardzo był Coprawda z mojej wizyty zadowolony.

— Może myślał, że to jaki bojowiec. Naraz rozmowa raptownie milknie. Wszyscy zrywają się z miejsc, podnieceni, zdenerwowani podbiegają do okna.

— Wystrzał.

— Nie wychodźcie na balkon. Wczoraj na Dzikiej jakąś żydówkę na balkonie zastrzelono.

— Ale nie wystrzał. Co się wam uroiło? Stróż pakę zamknął na podwórzu i koniec.

— Napewno wystrzał.

* * *

Okolo północy zrywa się wiatr. Świszczący, ponury, już prawdziwie jesienny wiatr. I powraca burza, która popołudniu huczała nad miastem. Raz po raz niebo rozplomienia się ogniem błyskawic.

Ludzie nie śpią.

Z balkonu widać okna przeciwległej kamienicy. Wszystkie oświetlone i osłonięte roletami. Wciąż na roletach migają cienie osób, zebranych w pokoju. I jest coś nieuchwytnie

rozpaczliwego w tym kontraście pomiędzy martwością ulicy a życiem, które się przeczuwa tam za oknami, w tym milczeniu żywego miasta.

Trudno się oprzeć melancholii, trudno nerwy utrzymać na wodzy. Potem już każdy szmer przejmuje mimowolnym drżeniem. I siedzi się w niespokojnym oczekiwaniu, że lada chwila coś się stać musi, że zaraz huknie salwa pod oknami i w ślad za nią rozbiją tę sztuczną ciszę przeraźliwe, straszne jęki ranionych.

Oczywiście — urojenie.

Ale wszak my w Warszawie możemy sobie po wszystkich "dziennych sprawach" na trochę zdenerwowania pozwolić. Wszak prawda? Jest to jedno z tych praw, których konstytucja nie gwarantowała nam specjalnie, a jednak dotrzymuje.

Powoli wloką się nudne kwadransy i szarem pasmem snują się niewesołe myśli. Na stole leży wieczorny "Kuryer". Raz jeszcze bierze go się machinalnie do ręki i odczytuje suchy, statystyczny wykaz. Do szpitala Świętego Ducha przywieziono ośmiu, do szpitala Praskiego szesnastu... do szpitala Dzieciątka Jezus dziesięciu... rana postrzałowa brzucha, rana tłuczona głowy, rana kłuta piersi...

"Przechodnie".

Mimowoli trzeba być banalnym i myśleć o znikomości życia ludzkiego. Strasznie to oklepany temat ale cóż robić, skoro się codzień tak uporczywie odświeża. Dobrze i to, że już

na nas nie wywiera najmniejszego wrażenia. Jesteśmy najzupełniej "ostrzelani".

Wychodzimy z domu na ulicę tak swobodnie, jak Francuzi albo Niemcy. I mówimy:

— O, patrz pan, Pogotowie jedzie, pewno znowu kogoś zabili.

Takim samym tonem, jakim, dajmy na to w Katowicach, opowiadają sobie mieszkańcy:

— Ładny dzień dzisiaj, nieprawdaż?

Do wszystkiego można się powoli przyzwyczaić...

Tymczasem burza przeszła, powietrze się oświeżyło, wiatr rozpędził chmury.

Ciemna, sierpniowa noc.

Niebo aż iskrzy się od gwiazd. Czasami, zakreślając świetlisty łuk po firmamencie, jakaś gwiazda spadnie.

Cudna noc. Na chwilę można się zapomnieć i przypuszczać, że to lato, sierpień, że się jest w środkowej Europie, chociaż niby naprawdę jest się w środkowej Europie, jest lato i sierpień.

DLA KRAJU

W niedzielę po południu pani Julia pojechała do Fiume. Był pogodny, prawie wiosenny dzień.

Na niewielkim placu nawprost przystani grała orkiestra wojskowa. Dookoła żołnierzy snuł się tłum ludzi wesołych, śmiejących się, rozbawionych. Młode dziewczęta, z kwiatami we włosach, spacerowały po pięć, sześć w szeregu, trzymając się pod rękę.

I we wszystkich oczach można było wyczytać zadowolenie z tego życia, które jakie jest, takie jest, ale ma swoje złote i pogodne chwile.

Pani Julia nie umiała sobie zdać sprawy z dziwnego uczucia, jakie ją ogarnęło na ten widok. Roześmiały jej się oczy do ludzkiego wesela, ale jednocześnie uczuła, że jej się na płacz zbiera...

Od samego rana była strasznie zdenerwowana.

Poczta przyniosła jej rano najświeższe warszawskie dzienniki. I znów to, co zawsze: strzały, krew, głód, nędza... Zimno się robi jak czytać, no, a przecież pisma nie piszą wszystkiego. Co tam się dzieć musi naprawdę?

— N'a — t-on pas tue quelqu'un de vos connaissances? — zapytała ją przy obiedzie sąsiadka, żona adwokata z Gracu.

— Heureusement non — odparła, wznosząc oczy ku niebu i nieznacznie tak, żeby Włozka nie widziała, splunęła trzy razy.

A po obiedzie nie mogła sobie miejsca w całej Abbazyi znaleźć. I żeby się choć trochę rozerwać, czemś innem myśl zając pojechała do miasta.

Ale świąteczny nastrój jaki tam panował rozdrażnił ją jeszcze bardziej.

Jaskrawo nasunęło jej się porównanie pomiędzy tym pogodnym obrazem, na który patrzyła a Warszawą. I przypomniało jej się pewne niedzielne popołudnie. Szła przez ulicę Marszałkowską. Jakiś obdarty człowiek zastąpił jej drogę i coś niewyraźnie mamrotał. Pani Julia cofnęła się przerażona a obdartus zaczął się chwiać, chwiać potem jakoś dziwnie wykręcił się w kółko na miejscu i upadł na chodnik...

Nazajutrz rano przeczytała w Kuryerze, że omdlał z głodu.

Tego wypadku o mało nie odchorowała wówczas. Bała się przytem, czy jaki "delegat"

nie podpatrzył tej sceny i czy nie wyznaczą jej kary za to, że głodnemu nie pośpieszyła z pomocą. I to skłoniło ją ostatecznie do wyjazdu.

Zarząd dwóch domów powierzyła administratorowi, krewnemu nieboszczyka męża i na odjeździe pozwoliła mu nawet wynajmować "takim pannom" mieszkania, byle tylko regularnie płaciły.

Ostatecznie... podczas rewolucji...

Kilka miesięcy spędzonych na południu uspokoiło ją znacznie, ale zupełnej moralnej równowagi nie odzyskała. Bo wciąż miała zajętą myśl tem, co się w kraju dzieje i troska

O losy ojczyzny zatruwała jej każdą jaśniejszą chwilę. Obudziła się w niej dawna społeczniczka, która z zaparciem się siebie, nieraz po deszczu i po błocie biegała na krańce Warszawy na wykłady "latającego uniwersytetu", organizowała odczyty, brała udział w przedstawieniach amatorskich "Wesela", słowem cały zasób swoich młodych sił i energii oddawała na usługi cierpiącej ludzkości. I chociaż potem po wyjściu zamaż nowe warunki życia nie pozwalały jej się zajmować ogólniejszymi sprawami, choć pozornie pochłonęły ją najzupełniej czcze światowe rozrywki, jednak dobry instynkt nie zamarł i obudził się z żywiołową siłą.

W głębi duszy pani Julia wstydziła się tego, że siedzi zagranicą. Nieraz w myśli nazywała się burżujką, bezduszną burżujką, której cała filozofia na tem polega, aby jaknajdalej

uciec od wszelkiego niebezpieczeństwa, ale wracać do kraju nie miała siły.

Ze smutnym uśmiechem odczytywała listy od znajomych z Warszawy, którzy zazdrościli jej pobytu nad południowym morzem. I nieraz, aż płakała z żalu, czując jak nikt z bliskich nie może jej pojąć. Ci ludzie wyobrażali sobie, że ona jest jedną z najszczęśliwszych istot pod słońcem.

Coraz ciężej i smutniej było jej na obczyźnie. Coraz uporczywiej prześladowała ją myśl, że grzechem jest upajać się melodyą fal i czarować oczy kwieciami, które słońce rozsiewa po morzu w chwili, gdy tam w kraju rozgrywa się wielki dramat dziejowy.

A w dodatku wkradło jej się do mózgu podejrzenie, że administrator, aczkolwiek dość bliski krewny nieboszczyka męża, niezbyt uczciwie zdawał jej sprawę z rachunków.

W każdym liście donosił, że lokatorzy nie chcą płacić komornego. I to panią Julię bolało. Nie chodziło jej o pieniądze, lecz o zasadę. Bieda biedą a komorne zapłacić trzeba. Inaczej ludzie zatraciliby poczucie obowiązku. Lepiej więc ograniczyć się, od ust sobie odjąć a zachować tę pierwszą zasadę obywatelskości. I pisywała długie listy do kuzyna, nalegając go aby dla dobra przyszłych pokoleń energiczniej ściał zaległości.

Po napisaniu każdego listu odczuwała zadowolenie, że bądź co bądź choć w drobnej części przyczynia się do wyrobienia charakterów w kraju. "Czyń każdy w swoim kółku co każe Duch Boży, a całość sama się złoży", pocieszała się w myśli, ale dla energicznej i żadnej czynu jej natury te okruchy działalności nie wystarczały. I bez względu na wszystkie racye, jakie w godzinach rozterki duchowej przytaczała, aby się przed własnym sumieniem bronić, zostawał jej w duszy palący wstyd i to przeświadczenie przykre, że nie spełnia swych obowiązków względem społeczeństwa i swoim wygodnym filisterskim życiem nikomu nie przynosi pożytku.

Dźwięki orkiestry ją drażniły. Uciekła przed nimi z placyku na sam koniec wysuniętej w morze kamiennej grobli, do której przybijały parowce. Słońce już zachodziło. W oddali na Canal-Grande całym czerwonym od blasków majaczył się biały żagiel jakiejś zapóźnionej rybackiej łodzi. Jakby ptak Rok zmęczony lotem przysiadł na falach i odpoczywał... Orkiestra przestała grać. I coraz ciszej, coraz pieszczotliwiej szumiało morze. Pani Julia uczuła łzę na twarzy. Szybko podniosła chusteczkę do oczu, ale łez stłumić nie mogła... płynęły coraz obficiej... I zapłakana, jak dziecko, wróciła do Abbazyi.

Ale wróciła z mocnym postanowieniem: żeby zaraz nazajutrz rano zatelegrafować po pieniądze, spakować rzeczy i wracać do Warszawy.

W takich chwilach usuwać się nie wolno. Trzeba być na miejscu i jeśli wszyscy cierpią, cierpieć razem, jeśli mają nadzieję cieszyć się z niemi.

Podniecona powziętym zamiarem, długo w noc nie mogła zasnąć. Pisała listy do znajomych, zapowiadając rychły swój powrót.

"Cudnie tu, ale ta cudna bezczynność mię zabija. Przedewszystkiem jestem członkiem społeczeństwa i w miarę sił swoich powinnam mu służyć. Więc wracam..."

Kiedy nazajutrz rano obudziła się ze snu i pomyślała, że trzeba będzie zacząć wszystkie rzeczy pakować, a potem nieskończoną liczbę godzin siedzieć w wagonie, a potem w Warszawie znów drzeć przed "delegatami", żal jej się zrobiło Abbazyi. I postanowiła wszelkie przygotowania do wyjazdu odłożyć do popołudnia. Tylko listy wrzuciła odrazu do skrzynki pocztowej.

Bo jechać trzeba... trzeba...

Wyszła do parku, żeby ostatni raz nacieszyć oczy widokiem błękitnej zatoki. Znajomi witali ją wesoło, a ona odpowiadała im ze smutną uciechą. Nikt z tych ludzi, których jedyną troską była myśl o najweselszem przepędzeniu dnia, nie domyślał się nawet jej poświęcenia. I pani Julia nie próbowała nikomu go

tłumaczyć. I na cóż toby się zdało? Czy ten tłum niemieckich, włoskich i angielskich snobów mógł naprawdę jej społeczne intencje zrozumieć? Tylko żonie adwokata z Gracu zwierzyła się ze swego postanowienia i młoda Włoszka spojrzała na nią tak przerażonymi oczami, jakby miała już trupa przed sobą...

— Vous partez... a Varsovie? Oh, mon Dieu... Et vous ne craignez pas les pogroms? Pani Julia uśmiechnęła się melancholijnie.

— Que faire?... Vous, qui etes compatriote de Garibaldi vous devez me

comprendre...

I Włoszka zrozumiała ją odrazu. W milczeniu — w tem, jak mówią nasze powieściopisarki "niemem milczeniu", które wymowniejsze jest od tysiąca słów, uściśnęła dłoń pani Julii i obie poszły na wybrzeże.

Był ciepły, pogodny dzień. W powietrzu pachniała woda morską. Środkiem zatoki płynął ku miastu niewielki parowiec, a za nim, jak warkocz snuła się biała wstęga dymu. W oddali chwiały się żagle rybackich łodzi, które wypłynęły na połów...

Pani Julia ściagała je rozręsknionymi oczami. Czasami któryś żagiel kładł się prawie na fale i zdawało się, że łódka się przewraca. Już... już... Dreszcz trwogi, jak prąd elektryczny, wstrząsał panią Julią. ta trwoga nie była przykra.

— Jakie tu wszystko jest inne niż u nas — westchnęła w myśli. Tu nawet bać się przyjemnie. Gdyby to w Warszawie można się było bać tak samo jak tu...

— Wygląda pani jak wieszczka fal...

— Oh — krzyknęła wystraszona, oglądając się szybko. Tuż przy niej stał hrabia Arpad Weszely, młodziutki Węgier, rozpoczynający karierę dyplomatyczną. Tak cicho podszedł, że pani Julia nie zauważyła go wcale. Cofnęła się w tył i uczuła, że ją oblewa rumieniec.

A Węgier patrzył na nią ognistym wzrokiem. Musiała mu się podobać z rozwianymi przez wiatr włosami, które oplotły jej twarz, jakby złotą przędzą pajęczą. I widząc jej zawstyżenie śmiał się wesoło.

Od dwóch dni znali się dopiero. Ale pani Julia zauważyła, że Węgier szuka jej towarzystwa. Był to zresztą bardzo miły i przystojny chłopiec. I bardzo, bardzo elegancki, jak prawdziwy arystokrata.

Zaproponował pani Julii i Włoszce partię tenisa.

Obie się zgodziły i poszły.

Pani Julia kilkakrotnie gasiła światło i kilkakrotnie zapalała je znowu zdenerwowana. Nie mogła spać...

Wciąż wracały jej na myśl słowa Weszely'ego:

"Nikt nie gra w tenisa z takim wdziękiem jak Polki". Powiedział jej to po skończonej partyi. I to nie był komplement. Bo to samo mówiły jego cygańskie oczy...

Wogóle rozmowa z tym "smarkaczem", jak go pani Julia nazywała w myśli, wywarła na niej silne wrażenie. Kiedy powiedziała mu, że ma zamiar wracać do Warszawy, on z tą imponującą swobodą arystokraty, który sobie nic z niczego nie robi, wziął ją za rękę (jakby był dawnym, dobrym znajomym... Co to znaczy rasa!) i zapytał:

— Dlaczego?...

I nie chciał słuchać tego, co mówiła o obowiązkach względem kraju. Roześmiał się wesoło:

— Panie właśnie powinny jeździć po świecie — zawołał — żeby nieść między obcych wdzięk swej ojczyzny.

Do późna w noc pani Julia zastanawiała się nad tymi prostymi słowami.

Były głębokie i mądre.

— Jak to znać odrazu dyplomatę — myślała z podziwem. — W jednym zdaniu, w jednym komplemente napozór, całe wskazanie polityczne... Ach, ta kultura dworska. Bo rzeczywiście "smarkacz" miał rację. Musi ktoś przecież na zewnątrz kraj reprezentować i żywym słowem informować o tem, co się dzieje... Wprawdzie są pisma. No, ale w gazetach tyle jest błędnych wiadomości,

stronniczych poglądów, trzeba je uzupełniać, wyświeślać.

Pani Julia czuła się jakby stworzoną do tej roli... I dziwiła się tylko, że wcześniej jej to do głowy nie przyszło.

Uniknęła by tyłu zmartwień.

"Nikt z takim wdziękiem nie gra w tenisa jak Polki. Taki Weszely, magnat, arystokrata, który przez całe życie obracał się w najwykwintniejszych towarzystwach, byle czym nie zachwyca się przecież... A jest za wielki pan na to, żeby komplementa prawić... Więc naprawdę ona musi grać w tenisa z wyjątkowym wdziękiem. A Weszely pochwalił za to wszystkie Polki. I będzie to teraz powtarzał u dworu, wszędzie, we wszystkich pięciu częściach świata, do których go karyera dyplomatyczna powoła.

To drobnostka. Pile żeby mieć dobrą sławę w wielkich rzeczach, to trzeba ją i w drobnostkach posiadać.

Podniecenie nie pozwalało jej zasnąć. I zaczynało jej być duszno w pokoju.

Wstała z łóżka i otworzyła okno.

W blaskach księżycowego światła niewielki park, który otaczał willę, wyglądał jak zaczarowany ogród. A w oddali cicho szemrało morze...

I nagle, jakby przebudzona z przykrego snu, pani Julia uczuła wielką i czystą radość w sercu. Nie, nie... nie pojedzie do Warszawy, zostanie tu, bo tu jest jej właściwe stanowisko.

A że znajomi, którym listownie zapowiedziała już swój powrót, ach i co gorsza, pisała tak szeroko o swoich obowiązkach względem kraju będą się z niej śmieli, to mniejsza o to. Ten, kto chce coś rozsownego dla kraju uczynić, musi się przygotować na szyderstwa i przykrości...

PAN REDAKTOR

Mam przyjaciela literata, z którym spotykam się w różnych kawiarniach i spędzam długie godziny na pouczającej rozmowie. Ponieważ cieszę się jego zaufaniem, więc chętnie zwierza mi się ze swoich planów i pomysłów literackich. Słucham go z ciekawością, ale więcej jeszcze zaciekawia mnie kwestya, kiedy ten człowiek wszystko to napisze. Chyba, że rozpoczęta w tem zyciu dzialalność, skończy w przyszlęm, poslęgując się "pismem duchów".

Jak dotychczas dorobek literacki mego przyjaciela sklęda się: z recenzji teatralnej z ogródka, którą pisał, zastępując chorego recenzenta, dwóch felietoników, wiersza w humorystycznym piśmie i "garści aforyzmów" w pewnej jednodynówce. Mimo to, talent jego nie jest jeszcze w społeczeństwie uznany, ale temu się nie dziwię, gdyż, jak mi wytłómaczył, prawdziwy talent nigdy nie bywa uznany za zycia, a bardzo rzadko po śmierci. Swoją drogę ma

zał do społeczeństwa i zastanawia się czasem nad tem, czyby wszystkich następných dzieł nie tworzyć po francusku lub po angielsku, które to języki, jak mnie zapewniał, posiadłby, "gdyby chciał", w bardzo krótkim czasie. Ja odwodzę go, jak mogę, od tego zamiaru, bo jakżeż ma Polska taką siłę stracić. Ale jest rozgoryczony. Zawsze powtarza, że nigdzie na świecie niema tak podłych stosunków literackich, jak w Warszawie; że tu wszyscy ludzie piszący są "durnie i analfabeci".

— Nic dziwnego — dodaje — ojcem talentu jest honorarium, a matką zaliczka. To jego ulubiony aforyzm. I, na poparcie cytuje mi normy honoraryów "od wiersza" we wszystkich piśmiech, jakie wychodzą na kuli ziemskiej, dodając, ile w którym

piśmie wiersz posiada liter. Umiał to na pamięć.

Rozmowy nasze zaczynają się zwykle jednakowo. Siadamy. Ja mówię: "Napijcie się czego?" On z wyrazem znudzenia i niesmaku kiwa potakująco głową. Po chwili twarz mu się rozjaśnia.

— Za tydzień będą pieniądze — mówi zacierając ręce... — Robię kokosowy interes.

— No?

— Tss... Na razie tajemnica... Wam tylko o tem mówię. Pewna afera literacka...

Ale się urzniemy... Za tydzień to już ja będę wam stawiał...

I kreśli tak ponętne obrazy przyszłości, że żałuję doprawdy, że rok ma tylko pięćdziesiąt dwa tygodnie.

* * *

Zdarzyło się, że nie widział mego przyjaciela przez tydzień. Zacząłem się niepokoić. A nuż go zaarrestowali?... Odwiedziłem go raz i drugi, ale nie zastałem w domu. Stróż mnie objaśnił, że nawet nie nocował.

Po tygodniu zjawił się w kawiarni, w której spotykaliśmy się zwykle. Był rozpromieniony.

— Cóż, udało się? — zapytałem.

— Udało — odparł z tryumfalnym uśmiechem.

— To, o czym wspominaliście.

— Ach nie... Tamto zrobiło klapę. Ale — wyobraźcie sobie przyjechał jeden mój kolega szkolny, szlagon ze wsi... Okropnie bogaty. No i hulaliśmy... Słowo wam daje, że przez ten cały tydzień ani jednej nocy nie przespałem naprawdę.

Rzeczywiście znać było na nim zmęczenie. Opowiadał mi długo i szczegółowo, jak się ze swoim szlagonem bawił, w jakich restauracjach bywali, co gdzie jedli i pili, i wyznał mi w końcu, że ten wystawny tryb życia bardzo mu się podoba i że nadal sam również takie już tylko życie będzie prowadził.

— Bo trzeba wam wiedzieć — dodał poważniej — że jestem teraz naprawdę na drodze do zrobienia pieniędzy.

— Winszuję.

— Tak, i to nawet dużych pieniędzy. Zakładam pismo.

— Pismo — zawołałem ucieszony.

— Tak. Otóż to cała historia. Jakem hulał z tym moim szlagonem, zacząłem go namawiać, żeby się przeniósł do Warszawy i tu założył wielki dziennik. Cóż, majątek ziemski teraz nie interes — za rok, dwa mogą wywłaszczać... Ale — on człowiek bez inicjatywy — jak prawie cała nasza szlachta, nie chciał się zgodzić. Tłómaczyłem, przekładałem — wszystko na nic.

— A cóż mówiliście, że się udało?

— Czekajcie. Na założenie pisma nie chciał się zgodzić, ale mi pożyczył sto rubli. Z tego na drobne wydatki rozeszło mi się pięćdziesiąt, ale pięćdziesiąt jeszcze mam nienaruszone.

— I z tem macie zamiar zakładać pismo?

— Cóż myślicie... Tak — dodał ironicznie, widząc, że nie podziela jego entuzjazmu. — U nas zawsze najpierw się czeka na miliony, a dopiero potem myśli o przedsiębiorstwie. Dlatego nic niema i bieda w kraju. Pięćdziesiąt rubli to jest pięć funtów szterlingów. Do czego toby się Anglik nie wziął, mając taki kapitał.

I po paru latach zrobiliby miliardy, nie miliony, tylko mi-liar-dy... Rozumiecie? Mówił tak przekonująco, że po pewnym czasie i mnie się udzielił jego zapal. Uwierzyłem rzeczywiście, że ten człowiek może z niczego stworzyć coś. Co za

spryt, co za bajeczne wydawnicze pomysły! No i odrazu zaczęliśmy nowy dziennik "oblewać". Koszty tej uczy, która przeciągnęła się do późna w noc, ja poniosłem, bo mój przyjaciel nie mógł już swoich pięćdziesięciu rubli naruszyć. Ale za to przyrzekł mi protekcję i nawet znacznieszą pomoc pieniężną, ile bym tylko razy potrzebował.

* * *

Po tygodniu ukazał się wreszcie pierwszy numer nowego pisma. ciekawością wziąłem go do ręki. I spotkał mię przykry zawód: w tem nowem piśmie nie było nic nowego, same przedruki z innych gazet i parę bez sensu skleconych artykułów, a to wszystko w dodatku na marnym papierze i tak niewyraźnie odbite, że połowy nie można było przeczytać.

Wieczorem, jak zwykle, spotkałem się z moim przyjacielem w kawiarni. Ale zaraz mnie z niej wyciągnął.

— Chodźcie, — rzekł — pójdziemy do jednej nowej knajpy. Teraz, jak jestem redaktorem,

to mam kredyt. Zrewanżuję się wam za wasze przyjęcia.

Poszliśmy. Po drodze pragnąłem w delikatny sposób zwrócić przyjacielowi uwagę na braki w jego piśmie.

— Dlaczegoście sami nic do pierwszego numeru nie napisali?

Spojrzał na mnie z góry i wzruszył ramionami.

— Ja? Także... Cóż wy myślicie, że będę swój talent po codziennych pismach rozpraszał?

— Wasze pióro ożywiłoby numer. Mój przyjaciel roześmiał się wesoło.

— Jak to znać, żeś pan profan i że się pan nic na dziennikarstwie nie znasz! — zawołał. — (Czasami byliśmy na wy, czasami na panie, zazwyczaj w ten sposób dawał mi delikatnie odczuć, że palnąłem głupstwo). Niechżeż mi pan powie: na co się wydaje pismo?

Zastanowiłem się przez chwilę nad odpowiedzią.

— Otóż na to, żeby mózdz od czasu do czasu puścić na miasto nadzwyczajny dodatek — wyręczył mnie. — Teraz pan rozumie.

— Nie chciałem się już przyznawać, że niezupełnie, więc zmieniłem temat rozmowy, a zresztą wchodziliśmy do baru, protegowanego przez mego przyjaciela.

Nazajutrz rano obudził mię ze snu przeraźliwy krzyk na ulicy:

— Nadzwyczajny dodatek, oblężenie stanu wojennego w Warszawie!

— Okropne oblężenie Warszawy!

Darli się chłopcy w niebogłosy. I kto żyw kupował dodatek. Ja sam, również wiedziony gorączkową ciekawością, szybko ubrałem się i pobiegłem na dół. I zimno mi się zrobiło, kiedym przeczytał. Była to zapowiedź rzeczy tak okropnych, że po przeczytaniu tego dodatku, najrozsądniej byłoby może odrazu się powiesić, byle tylko nie doczekać tego, co się stać miało. Wylęknięty, zdenerwowany, zacząłem szukać po mieście mego przyjaciela, żeby się coś więcej jeszcze od niego dowiedzieć.

Ale los mi nie sprzyjał. Dopiero na drugi dzień w południe udało mi się go spotkać. Stał pochylony nad bufetem w barze, nie mogąc się widocznie zdecydować na wybór zakąski.

Kiedy mnie spostrzegł, roześmiał się wesoło.

— Doskonale, żeście przyszli... urządzimy sobie śniadanko.

Ten jego spokój i dobry humor w tak krytycznym dla społeczeństwa momencie zdziwił mnie nieco.

— Cóż to będzie? — zapytałem.

— Z czym?

— No, z tem, co pisał wasz wczorajszy dodatek... Przez całą noc oka zmrużyć nie

mogłem.

Redaktor się uśmiechnął.

— Co ma być, już jest — odparł protekcyjonalnie i uderzył się ręką po kieszeni. — Trzydzieści rubli na czysto.

A potem nachylając się ku mnie, dodał ciszej:

— Dobrze, żeście przyszli, pogadamy. Wiem, że macie paru zamożnych znajomych. Otóż, czy który z nich nie kupiłby odemnie pisma... Zaproponujcie...

— Chcecie sprzedać?

— Zawiele mi czasu zajmuje... nie mogę zaniedbywać literatury. Niedrogo oddam, za kilkaset rubli. A pismo, puszczone w ruch — złoty interes. Powiadam wam złoty interes, do końca życia można mieć spokojne utrzymanie. Wytlómaczcie to im, dobrze?

Przyrzekłem.

I zaczęliśmy "oblewać" sprzedaż.

POGROM

I.

Marysia weszła rano do pokoju z niezmiernie tajemniczą miną.

— Proszę pani — odezwała się półgłosem, stawiając koszyk z bułkami na stole. — Widziałam teraz koło dworca Wiedeńskiego kozaków... Tacy czarni... To pewno już ta czarna sotnia przyjechała do Warszawy.

Pani Stecka wzruszyła ramionami.

— Co też Marysia za głupstwa wygaduje? Skądżeby "czarna sotnia" mogła przyjechać Wiedeńską koleją. Ot, zwyczajny patrol.

Ale Marysia nie dała się przekonać. Uśmiechnęła się nawet pogardliwie, jakgdyby litując się nad nieopatrzonym optymizmem swej pani.

— Albo to oni nie chytre?... Naumyślnie Wiedeńską koleją przyjechali, żeby naród omanić. A dziś w nocy już podobno na Nalewkach zaczęli rozbijać żydowskie sklepy.

Ta druga wiadomość wywołała wrażenie piorunujące. Pani Stecka podniosła się od stołu.

— Doprawdy?

— Ależ tak. Ludzie mówią, że wszystkie sklepy poniszczyli... Siostrze tej stróżki z pod dwudziestego numeru...

Dalej już pani Stecka nie słuchała. Wzburzona pobiegła do sypialnego pokoju.

Mąż jej golił się właśnie. Siedział przed lustrem z namydloną twarzą i starannie ostrzył brzytwę na ręcznym pasku. Widząc niezmiernie podniecenie żony, zerwał się z krzesła.

— Co takiego?

— Już zaczynają mordować w Warszawie. Będzie to samo co w Odessie. Dziś w nocy!

— Ależ.

— Proszę cię, nie przerywaj mi. Dziś w nocy caluteńkie Nalewki zburzyli, kamienia na kamieniu nie zostało. A my iesteśmy zupełnie zdani na łaskę Bożą. We wszystkich domach w całym mieście jest jakaś samoobrona, ludzie czuwają, bronią się, tylko u nas nikt o niczem nie myśli. Wszystko stoi otworem, aż strach doprawdy, jakby naumyślnie na chuliganów czekało. Nawet zatrząsków porządnym niema. Ja nie rozumiem, że ty to tak obojętnie traktujesz!

Stecki patrzył na żonę osłupiałymi oczami. Dotychczas z jednego tylko zdawał

sobie

sprawę dokładnie: że do biura pójdzie nieogolony. I słuchał, nie próbując jej przerywać, bo wiedział już zresztą z doświadczenia wspólnego pożycia, że toby się na nic nie zdało. Kiedy wreszcie pani Stecka umilkła, odezwał się dobrotliwym tonem:

— Ależ moja duszko, nie denerwuj się... pomyślimy o wszystkim. Kto ci mówił, że na Nalewkach rozbijano?

— Marysia, cała Warszawa o niczem innym nie mówi...

— W "Kuryerze" niema.

— Kiedyż mieli napisać, jak się to w nocy stało?... Ty zawsze...

— Nie... nie... nie... — zaprzeczył żywo, widząc, że żona nie wyczerpała jeszcze całkowicie tematu. Tylko Marysi nie można dowierzać, ona często przesadza.

— U ciebie wszystko przesada. Jak cię w łóżku zarzną, to powiesz, że to też przesadzone.

I trzasnąwszy drzwiami, wyszła z pokoju.

Dopiero wówczas Stecki odzyskał na tyle swobodę myśli, że mógł się zaniepokoić. I naprawdę się zaniepokoił. Bo bądź co bądź, o tej "czarnej secinie" mówiło całe miasto. Od rana do wieczora, na ulicy, w biurze, w kawiarniach, nic innego nie obijało mu się o uszy, jak tylko krew, trupy, pogromy, rzezie, a to w końcu człowieka o najbardziej stalowych nerwach, mogło wyczerpać. Stecki nie wiele posiadał

bohaterskiego ducha. Od dzieciństwa prawie przywykł, że ktoś nad nim czuwał; stróż, policyant, rewirowy, komisarz cyrkułu, sędzia pokoju... I w głowie mu się nie mogło pomieścić, żeby naraz cały porządek świata w jednej chwili się zmienił, żeby go mogli we własnym mieszkaniu zarżnąć jak barana, niszczyć mu meble...

Ale na psa urok, lecz jeżeli wszyscy ludzie tak zaczynają o czymś ciągle mówić, to ostatecznie mogą wywołać wilka z lasu. Stecki zaczął się bać. Nie chciał już wieczorami wychodzić na ulicę. Zamknięte sklepy, nikłe płomyki gazu, który się tak palił, jakgdyby lada chwila miał zagasnąć, nasuwały mu przykre myśli; mimowoli przyspieszał kroku i podejrzliwie rozglądał się dookoła.

W mieście zaczęto organizować samoobronę. Stecki był człowiekiem energicznym i o ile coś postanowił, to każdy swój zamiar szybko doprowadzał do skutku.

Orjentował się jednak powoli i dlatego pod względem nastroju, zawsze pozostawał o dzień lub dwa w tyle... Gdy więc w sąsiednich kamienicach zaczęto już zbroić się i tarasować bramy, on wciąż jeszcze nie mógł się zżyć z myślą o walce. Była to zresztą myśl tak nowa i niezwykła, że nie mógł dla niej miejsca w głowie znaleźć. — On, który zaledwie parę razy w swym życiu miał strzelbę i to w strzelnicy podczas majówek, jakie urządzał za narzeczeńskich czasów, nie potrafił prze-

jąc się odrazu namiętym zapalem obrońcy Saragossy.

Tego rana jednak zarzuty żony były nieusprawiedliwione, bo Stecki obudził się ze snu z silnym postanowieniem, że coś nareszcie zrobić trzeba. I goląc się myślał nad tem. W roztertaniu skaleczył się brzytwą w policzek. W zwykłych czasach nie zwróciłby na to uwagi, ale teraz... Brzytwą się zaciąć, a boli psiakrew, myślał, szukając w pugilaresie angielskiego plasterka — cóż dopiero, jak taki chuligan wepchnie człowiekowi nóż gdzieś w sam środek ciała? Nie, nie, to żartować nie można.

Szybko skończył się ubierać i wyszedł do stołowego pokoju.

Pani niema, zachmurzona, kończyła pić herbatę.

Stecki postanowił wstępnym bojem zyskać jej dobry humor.

— Tak — zawołał, zacierając ręce, a twarz jego przybrała wyraz napoleońskiej energii. — Dłużej nie możemy się ociągać. Rozpiszę zaraz listy do wszystkich lokatorów i musimy się przygotować do obrony.

— Nareszcie się zdecydowałeś...

— Nie nareszcie, tylko dotąd nie było potrzeby. Pocóż wyczerpywać energię, która się później naprawdę przydać może? Jeden dzień na przygotowania wystarczy i tak tych panów przyjmujemy, że uciekną gdzie pieprz

rośnie... Odechce im się pogromów. To już ja ci to mówię.

Głos jego brzmiał twardo, stanowczo, jak szczęk oręża. Pani Niunia otworzyła szeroko oczy. Pierwszy raz w życiu zdawało jej się słyszeć męża, mówiącego takim tonem.

A on chodził wielkimi krokami po pokoju i mierzył krwiozerczem spojrzeniem meble.

— Odechce im się pogromów — powtórzył po raz drugi jeszcze bardziej nieubłaganie. Zaraz listy do wszystkich rozpiszę, chociażbym się miał nawet do biura spóźnić i po południu się naradzimy.

— A ja każę Marysi gorącej wody nagotować...

— Tak... tak... to się przyda.

I niedopijając herbaty, pobiegł do swego pokoju.

Pani Niunia została w jadalni. Mąż jej zaimponował. Nie śmiała mu przeszkadzać. Poczula się nagle wobec niego tak słabą i bezsilną, jak małe dziecko. A doznała tego uczucia po raz drugi w życiu dopiero. Pierwszy raz było to dawno — w kilkanaście godzin po ślubie...

I uśmiechnęła się, jak żołnierz, który wśród huku armat i trzasku karabinów, wraca myślą do rodzinnej wioski...

II.

Na obrady przeznaczono puste mieszkanie na drugim piętrze po lekarzu, którego zawieszano na wojnę. I tegoż dnia w południe wszyscy lokatorzy otrzymali listy jednakowej treści, wykaligrafowane pięknym pismem pani Steckiej z zamasztysem podpisem jej małżonka:

Szanowny Panie!

W celu naradzenia się nad sposobami urządzenia w naszej kamienicy obywatelskiej samoobrony, wobec grożących wieści o pogromach, upraszam Szanownego Pana o łaskawe przybycie dziś o godzinie piątej do lokalu Nr. w nadziei, że Szanowny Pan nie odmówi wzięcia udziału w tej społecznej akcji.

Z poważaniem

A. Stecki

Administrator domu.

Rano jeszcze Stecki kazał przynieść stróżowi do mieszkania biurko i wszystkie stoliki

i krzesła, jakie udało mu się zebrać. Poustawiano je rzędem pod oknem. W kącie na specjalnie na ten cel przeznaczonym stołku urządzone podręczny arsenał. Znalazły się tam: kilof do łamania lodu, siekiera, nóż kuchenny, parę drutów do rolet i dobrej konstrukcji rewolwer, trochę może już zużyty, ale na oko bardzo błyszczący i groźny. Pani Stecka usunięta na razie od akcji czynnej, ponieważ udział amazońki w obronie — miał być dopiero omówiony na pierwszym zebraniu, a chcąc się również czemś do sprawy przyczynić, zawiesiła na ścianie portret generała Dąbrowskiego.

Na parę minut przed piątą, Stecki był na stanowisku. Rozejrzał się po sali i nerwowo zatarł ręce. W ciągu całego tego dnia był niezwykle podniecony. Doznawał podobnego uczucia, jak niegdyś w poczekalni u dentysty przed wyrwaniem zęba. Wciąż czekał, żeby się już coś stało. Za nim zaczęli też nadciągać i inni obrońcy mienia i życia swoich żon, sióstr i córek. Przejęci ważnością zadania, schodzili się punktualnie i w jakiejś parę minut po piątej, cała rada wojenna zebrała się w pełnym komplecie. Było siedemnastu mężczyzn zdolnych do noszenia broni — armia niewielka — ale wszak wiadomo z historii, że poświęcenie i mężstwo, podwajają liczebność hufców. Cztery świece, które Stecki kazał ustawić na stole, nie oświecały dostatecznie dużego

pokoju i panował w nim tajemniczy półmrok. W połączeniu z pustką i chłodem dawno nieopalanego mieszkania, wytwarzało to atmosferę posępną i pełną grozy. Poddając się jej władzy wszyscy zebrani, starali się stąpać na palcach i mówili przyciszonemi głosami. Wszyscy mieli miny tajemnicze i uroczyste. Stecki wyciągnął chustkę od nosa i w braku dzwonka prezydyjalnego, głośno chrząknął.

Zaczął radzić.

Oczywiście, z początku, narady te nie bardzo się kleiły. Ludzie nie znali się jeszcze ze sobą, byli sztywni i przede wszystkim starali się wzajemnie poznać i przeniknąć. Mówiono półsłówkami. A co najgorsza, brakło wojowniczego zapału. Nawet broń, złożona w kącie pokoju, którą Stecki pokazał zebrany, nie zdołała go zbudzić. I nie wiadomo doprawdy, na czymby się to zebranie zakończyło, gdyby nie szczęśliwa intuicja pana Hilarskiego, właściciela sklepu kolonialnego, który sięgnął do osobistych wspomnień i opowiedział parę przygód swojego stryja z powstania. To ogromnie ożywiło zebranie. Wszyscy skupili się dookoła niego i słuchali z zaciekawieniem.

I potem każdy zaczynał coś z własnych, albo zasłyszanych przygód opowiadać. Napozór, było to odbieganie od tematu ale w skutkach dobroczynne niezmiernie bo dzięki tym opowieściom właśnie zarysowały się indywidualności obrońców. Po półgodzinnej, coraz bardziej

ożywionej gawędzie, już z łona towarzystwa wydzieliła się niewielka elita ludzi — posiadających najwybitniejsze kwalifikacje do ujęcia w swe ręce steru samoobrony. Było ich pięciu: pan Hilarski, który dzięki opowieściom stryja powstańca, wyrósł w tradycjach wojskowych a skutkiem plastyki stylu nieboszczyka, tak się z niebezpieczeństwami otrząsał, jak gdyby sam, co najmniej, w kilku wojnach brał udział, pan Domański, lokator z trzeciego piętra, którego kuzyn przeżył całe oblężenie Portu-Arthura, buńczuczny student politechniki, który trzy razy w życiu o mało nie miał pojedynku i dwóch posiadaczy rewolwerów. Ci ostatni mieli broń nawet przy sobie i pokazywali ją zebrany, czym wzbudzili niemałą sensację, ale mimo to z największym zaufaniem czy wszystkich spoczywały na osobach pana Hilarskiego i Domańskiego. Pan Hilarski miał oprócz tradycji potężny wzrost i jeszcze potężniejszą rękę, w razie czego, mogło się ze dwóch ludzi za jego plecami bezpiecznie schronić, pan Domański zaś z racyi suchotniczej natury i przykrego kataru żołądka, na który się ciągle uskarżał, mniej może przedstawiał danych jako jednostka boiowa, ale za to tak barwnie umiał opowiadać przygody swego kuzyna w oblężonej fortecy, że wstrząsnął i porwał całe towarzystwo. Wiadomo czem jest pieśń w boju. Niestety, jak zwykle u nas, nie obeszło się i bez małej prywaty. Ilekroć mianowicie

pan Hilarski przytaczał jakąś przygodę swego stryja z powstania, a każda

następna była coraz straszniejsza, pan Domański uśmiechał się lekceważąco i zaraz potem zaczynał.

— Co tam powstanie!... Mój kuzyn, który przeżył całe oblężenie w Porcie Artura...

Pana Hilarskiego to irytowało. Z natury był popędliwy.

— Mój panie, co mi pan opowiada. Właśnie, jeśli chodzi o męztwo, to ono tylko podczas dawnych wojen mogło się w pełni wykazać... Teraz walczą technika, konstrukcja broni, inżynieria.

Pan Domański nie sprzeczał się, ustępował ale ustępował z nieznacznym uśmiechem, który jego zżółkłej twarzy, nadawał dziwnie zjadliwy i lekceważący wyraz. I po chwili, jakgdyby nie pamiętając wcale o wywodach swego przeciwnika, zaczynał najspokojniej na nowo.

— Co tam powstanie... Mój kuzyn przeżył całe oblężenie w Porcie Artura!

Pan Hilarski puścił to płazem raz i drugi, za trzecim poczerwieniał jak rak. I kto wie, czy nie doszłoby między nimi do gorszącej kłótni, co byłoby tem smutniejsze, że na ogół spoglądał jako na naturalnych przywódców obrony, gdy na szczęście, do pokoju wszedł inżynier z lewej oficyny, który dla jakichś osobistych powodów, nie mógł się stawić punktualnie na godzinę piątą.

Wejście jego, dość hałaśliwe, bo był to człowiek obdarzony niezmiernie bujnym temperamentem, zażegnało wiszącą w powietrzu sprzeczkę.

— Najmocniej panów przepraszam, że się spóźniłem... nie mogłem, w żaden sposób nie mogłem... słowo honoru... zawsze jestem pierwszy, gdy o sprawę ogólną chodzi, ale tym razem nie mogłem. Cóżście panowie uradzili?

Inżynier miał ostre, przenikliwe spojrzenie i w głosie ton, który zniewalał do posłuszeństwa. Wszyscy poczuli, że do chóru przybywa nowy członek, który może się nawet wysunąć na jego czoło. Poczuli to także panowie Hilarski i Domański, którzy aczkolwiek minami tego nie mówili, wiedzieli już, że są "wybrani" i złączeni sympatycznym węzłem wspólnej niesympatii do przybysza, zapomnieli chwilowo o różnicy zdań.

— Cóż też panowie uradzili? — zapytał powtórnie inżynier, rozglądając się dookoła.

Nikt nie umiał mu odpowiedzieć, bo właściwie nic stanowczego jeszcze nie uchwalono. Pan Hilarski poszedł w kątek pokoju i zaczął rozpatrywać złożoną tam broń, a pan Domański przyłożył twarz do szyby i wyglądał na ulicę. Obaj byli podrażnieni zbyt pewnym siebie tonem inżyniera.

A on objął w tej chwili nad wszystkimi komendę. Żywo giestykulując, wykladał zdumionym nieco słuchaczom, plan obrony. Należało zgromadzić jak największą ilość oręża.

Przygotować gorącą wodę i witryolej, któryby podczas napaści czerni, kobiety mogły łąć z góry na głowy atakujących. Zakupić sporą ilość drutu kolczastego. Przyda się na wypadek, gdyby ich wyparto z bramy i gdyby musieli prowadzić walkę na schodach. A przede wszystkim czuwać, czuwać dniem i nocą, żeby się nie dać zająć z nienacka. Ponieważ dom jest przechodni, więc jedną bramę kazać zatarasować zupełnie. Kto w dobrych zamiarach chce wejść do kamienicy, ten może kilkanaście kroków nadłożyć.

— To już kazałem zrobić! — przerwał Stecki. — Tak zabita, że sam dyabeł przez nią się nie przedostanie — dodał zacierając ręce z uśmiechem zadowolenia.

— Bardzo dobrze — pochwalił go inżynier. — Ja znam się trochę na tem, ponieważ sam służyłem w wojsku i przyznam się, że lubię sztukę wojenną.

Po sali przeleciał cichy szmer.

— Tak — ciągnął mile polechtany tem inżynier. — Jestem zapasowym porucznikiem artylerii. Chociażem nie pojechał na wojnę, o, byłbym napewno pojechał, tylko panowie rozumieją... niesympatyczny cel.

Umilkł.

Stecki zbliżył się ku niemu i wzruszony, uroczyście uściśnął mu dłoń. Za nim podążyli inni, prócz panów Milarskiego i Domańskiego którzy wciąż trzymali się na uboczu.

— Mamy nareszcie pułkownika — zawołał donośnie Stecki. I chwytając w pół inżyniera, ucałował go w oba policzki.

— Komenderuj-że pan nami, mów co mamy robić, bo my to tam na tem się nie znamy — krzyczał, nie wypuszczając go z objąć.

— No, nie wszyscy. — Są między nami i tacy, którzy się znają, — wtrącił niedbale pan Hilarski.

— Właściwie chrzest wojskowy to się w ogniu dopiero odbiera, — zawtórował mu cichym głosem pan Domański. — Kuzyn mój, który przeżył całe oblężenie w Porcie Artura...

Silny atak kaszlu, nie pozwolił mu skończyć rozpoczętego zdania.

Nie zwracano zresztą na nich uwagi. Inżynier, jak każdy silny i beczelny uzurpator, odrazu zapanował nad tłumem. Od chwili zwłaszcza, w której dowiedziano się, że jest wojskowym specjalistą.

Widząc, że powszechna uwaga na nim się skupiła i że ich nie bardzo słuchają, obaj panowie cofnęli się skromnie na stronę. Za nimi podążył student politechniki i wtajemniczył ich w trzy epizody swego życia, które o mało nie zakończyły się pojedynkami na bardzo ostrych warunkach.

— Jakiś dzielny chłopak — mruknął pan Hilarski, gdy student oddalił się na chwilę, poszukać zapalek.

— Mimo, że nie odbywał jednorocznej służby w artylerii — zauważył pan Domański. Inżynier opowiadał tymczasem zebranym, jak się należy oszancowywać w równym polu, później wskazał kilka błędów strategicznych tak genialnego nawet wodza, jakim był Oyama, wreszcie gdy uwaga wszystkich dosięgła kulminacyjnego punktu, najniespodziewaniej włożył palto i zaczął się żegnać.

— Jakto, pan chce uciekać — zawołał Stecki, zastępując mu drogę.

— Muszę... dochodzi ósma... dałem słowo honoru. Przez te kilka dni muszę nocować u znajomych. Ale w razie napaści, sercem będę z panami — pocieszył żywo zebranych, widząc smutne rozczerowanie na ich twarzach.

Uklonił się i wyszedł... Panowie Hilarski i Domański spojrzeli na siebie i wybuchnęli głośnym śmiechem.

III.

I oto jedna z najcichszych i najspokojniejszych kamienic warszawskich zmieniła się nagle w warownię. Nastaly dni nastrojowe, pełne wyczekiwania i grozy.

Mężczyźni "zdolni do noszenia broni" czuwali nocą w bramie. We dnie opowiadano sobie przynoszone z miasta nowiny — wszystkie straszne.

Pierwsza noc była najgorętsza. Postanowiono, że nad snem mieszkańców będzie czuwało kolejno w bramie po trzech mężczyzn. Ale czuwali wszyscy bo nikt nie chciał się kłaść spać.

Najbardziej zdenerwowany był Stecki. W zimowym paltocie z podniesionym kołnierzem, w kaloszach, z wielkim kawaleryjskim pałaszem w ręce spacerował po bramie i po podwórzu, wyteżając słuch a każdy szmer napelniał go drżeniem.

Co chwila zbliżał się do Hilarskiego, który

siedział na ławce w bramie i nachylając mu się do uszu szeptał:

— Jakoś ich nie widać..

— Nad ranem — również cicho i tajemniczo odpowiadał Hilarski.

— Myśli pan?

— Napewno, wtedy, kiedy jest najmocniejszy sen...

To Steckiego gniewało. Był pełen wojowniczego ducha i odwagi ani zapędu do walki mu nie brakło, ale wolałby, żeby niebezpieczeństwo miało swoje oznaczone godziny. Mimo całe podniecenie przytem zaczynała go powoli ogarniać senność.

Walczył z nią rozpaczliwie, nie chcąc się okazać mniej wytrzymałym od innych i przetrwał tak do godziny piątej.

Nazajutrz przez cały dzień o niczem innym nie mówiono, tylko o przygodach ubiegłej nocy. Panowie podziwiali nawzajem swoją odwagę i wytrzymałość. Ale na nowy dyżur już trudno było znaleźć ochotników. Oczywiście — można jednej nocy nie przespać, dwóch z rzędu niepodobna.

Postanowiono więc ciągnąć losy.

I los znowu kazał czuwać Steckiemu.

Tym razem jednak z wielką niechęcią zeszedł o dziesiątej wieczorem do bramy.

Miał razem z panami Domańskim i Hilarskim siedzieć do pierwszej. Siedzieli już sami we trzech tylko, bo nikt nie miał ochoty im towarzyszyć dobrowolnie. Noc była zimna, padał deszcz.

Członkowie bojowej drużyny pochowali się po mieszkaniach. Doszli zapewne do wniosku, że jeśli to mają być nawet ostatnie chwile ich życia, to lepiej je przespać w ciepłych łóżkach niż przemarznąć w chłodnej, ponurej i wilgotnej bramie.

Stecki myślał to samo.

Wsunął się w najciemniejszy kąt bramy, skurczył i jak mógł najsilniej przywarł do muru, żeby się w ten sposób bronić od zimna i rozpaczliwym wysiłkiem woli walczył z sennością, która mu kleiła powieki i chyliła głowę ku ziemi. Już mu się nawet na zegarek spoglądać nie chciało; czuł tylko, że czas wlecze się nieskończenie powoli. Do wszystkich obaw, jakie go nękały przyłączyła się najistotniejsza, obawa przeziębienia. Żeby nie wstyd, poszedłby w tej chwili na górę i z rozkoszą położył się do łóżka... och, z jaką rozkoszą. Odrazu przestał wierzyć w pogromy, w "chuliganów", w "czarne sotnie" i coraz wyraźniej zaczynał zdawać sobie sprawę z tego, że w razie jakiegokolwiek napaści, on pierwszy by uciekł...

— I po dyabła ja tu sterczę? — złościł się na siebie w duchu.

Wydawało mu się, że to wszystko jest tylko intrygą uknutą przeciwko niemu.

Nagle z przykrych tych rozmyślań wyrwało go głośnie chrapanie:

Pan Hilarski wyciągnął się na ławce stróża i spał jak zabity.

Stecki roześmiał się zjadliwie. I zaczął się rozglądać po bramie, szukając oczami Domańskiego, żeby mu zwrócić uwagę na to oburzające lekceważenie honorowych obowiązków lecz Domańskiego nigdzie w bramie nie było. Wyszedł więc na podwórze i zaczął półgłosem wołać:

— Panie Domański... Panie Domański...

Nikt się nie odzywał.

I właściwie do dziś dnia niewiadomo, co się z panem Domańskim stało. Student politechniki, który się tej nocy zapóźnił i dopiero koło dwunastej wrócił do domu, opowiadał nazajutrz rano z oburzeniem, że w nocy nikogo nie było na warcie i że wskutek tego, on nie mogąc się do bramy dodzwonić, musiał przez całą noc spacerować po deszczu, bo go bez rzeczy i bez pieniędzy do żadnego hotelu przyjąć nie chciano.

Pan Stecki opowiadanie to nazwał podłą insynuacją. Utrzymywał, że do rana wytrwał na warcie, mimo że i poprzedniej nocy nie spał wcale i to sam jeden, bo Hilarski i Domański najbezczelniej w świecie uciekli. Dowiedziawszy się o tem pan Domański nazwał pana Steckiego łotrem, pan Hilarski obu ich łajdakami, student wszystkich trzech durniami a oni studenta osłem. Całe szczęście, że

obelg tych nie mówili sobie w oczy, tylko wymieniali za pośrednictwem przyjaciół, bo zważywszy krewkie

usposobienie wszystkich, mogło by dojść do gorszącej bójki.

I tak o mało do pojedynku nie doszło. Chciał się bić student, chciał się bić Stecki. chcieli się bić Domański i Hilarski. Zmobilizowano wszystkie czarne tużurki jakie były w kamienicy i ośmiu uroczystych sekundantów przez dwa dni chodziło od mieszkania do mieszkania. Udało im się w końcu w imię uczuć obywatelskich i dobra ojczyzny odwieść obrażonych przeciwników od zamiaru krwawej rozprawy, ale żalu z serc wypłenić nie mogli.

Panowie Stecki, Hilarski i Domański pozostali wrogami i prawdopodobnie nigdy się nie pogodzą.

Oczywiście po tym smutnym zajściu nikt już nie miał chęci dyżurować w bramie, zwłaszcza, że i niepokojące pogłoski o pogromach przycichły. Wszyscy wrócili do swych codziennych zajęć i spadł wielki ciężar z serc lokatorów poczciwej kamienicy warszawskiej.

KARYERA

Czując się niezwykle zdenerwowanym, postanowiłem zasięgnąć porady lekarskiej. Poszedłem do jednego, drugiego, trzeciego znajomego doktora. Każdemu opowiadałem swoje cierpienia. Każdy mnie słuchał, kiwał głową, trzy ruble brał (znajomy!) i w końcu każdy powtarzał jedno i to samo:

— Spokoju, bezwzględnie spokoju. Unikać wszelkich wzruszeń, wszelkich wstrząśnień, prowadzić możliwie najregularniejsze życie.

Kiedy mi to pierwszy powiedział — zniosłem, drugiemu roześmiałem się impertynencko w twarz, trzeciemu powiedziałem głupstwo, a do czwartego nie chodziłem już wcale, bojąc się, że mu naprawdę mogę nawymyślać.

Bo, czy to nie złośliwe kpiny? Czasy coraz cięższe, na każdym kroku można być postrzelonym, doszło do tego, że wyjście z domu do fryzjera, czy do cukierni na czarną kawę, jest już karygodnym lekceważeniem życia, a tu

mi zalecają bezwzględny spokój i unikanie wzruszeń. Dobrze, daj mi stałą rentę, żebym mógł wyjechać zagranicę, to będę wiódł spokojny żywot.

Wracałem do domu wściekły, gdy nagle na skrawku ulicy spotkałem mego dawnego lokaja. Wypędziłem go za złodziejstwo. Patrę — on, czy nie on. Ta sama łotrowska gęba, ale co za szyk! Świeżuteńki garnitur, najwidoczniej od pierwszorzędnego krawca, przy kamizelce gruby, złoty łańcuch — słowem zamożność aż bije od niego.

I on mnie poznał i ukłonił mi się po przyjacielsku.

— Cóż to, Antoni spadek dostał?

— I, ktoby mi tam co zapisywał? A u pana co słychać? — zapytał pośpiesznie, jakby chcąc uniknąć dalszej indagacji z mej strony.

A ja, że to jedną myślą miałem całą głowę nabitą, więc nie zwracając na to uwagi z kim mówię, zacząłem się przed nim jak przed przyjacielem zwierzać ze swoich trosk i wymyślać na doktorów.

— Niech mi dadzą rentę — zawołałem głośno na zakończenie — to będę miał spokój.

Mój ex-lokaj uśmiechnął się tajemniczo.

— Na co panu właściwie renta?

— Jakto na co, żeby wyjechać.

— O po co pan chce wyjeżdżać?

— Żeby mieć spokój.

— Spokój, spokój... Ja uważam, że na całej kuli ziemskiej niema miejsca, gdzieby tak spokojnie i wesoło można było żyć jak w Warszawie.

Wytrzeszczyłem na niego oczy, przybierając jaknajgłupszy wyraz twarzy.

— Czy Antoni oszalał?

— Wcale nie, tylko oczywiście nie trzeba być burżujem.

I klepiąc mnie poufale po ramieniu, dodał: — Niech tam, po starej znajomości, powiem panu. Chcesz pan żyć spokojnie, dostatnio i wesoło, zapisz się pan do naszej partii. Do komunistów. Raj na ziemi, a robota żadna. Wyjdzie pan rano na przechadzkę, wstąpi pan tu do sklepu — tam do biura, po drodze zawadzi pan o monopol. Kilkadziesiąt rubli w kieszeni pewne. Dawniej — ciągnął, zapalając się coraz bardziej — potrzeba było przed przystąpieniem do interesu kilkanaście rubli na rewolwer wyłożyć. Ale teraz i to niepotrzebne. Ludzie się tak już nastraszyli, że kawałek blaszanej rurki wystarczy. Jedyne zajęcie, powiadam panu. W naszych czasach komunista, byle tylko systematycznie na robotę wychodził, może jak nic kilka tysięcy rubli miesięcznie zarobić.

— I kulę dostać wtrąciłem.

— Od kogo? Chyba od siebie samego, jak się nie umie z browningiem obchodzić. Stójkowy na pomoc nie przyjdzie, bo stójkowy się nas boi, a publiczność także nie przyjdzie,

bo publiczność boi się stójkowego; zresztą, czy pan nie czytuje gazet? Kule z zasady trafiają w tych, dla których nie są przeznaczone. I najbezpieczniej jest dziś być w Warszawie tym kogo mają postrzelić, bo takiego to już kula naprawdę ominie.

Argumentacja jego oburzała mnie ale i zaczynała zaciekawiać. Łotr spostrzegł to i roześmiał się wesoło:

— Widzę, że panu trafił do przekonania. Niech się pan decyduje, na to nawet odwagi nie potrzeba. Zobaczysz pan po tygodniu, jaki pan będzie wesoły, zdrowy i jak pan pokocha Warszawę... A widoki coraz lepsze... kto wie, może dostaniemy subwencję, a wtedy urządzimy pogrom.

Nagle zamyślał się:

— No, dowiedzenia — wykrzyknął, ściskając mnie za rękę. Ja tu sobie wstąpię do fryzjera. Każę się ogolić i przy sposobności zabiorę kasę. To, ma się rozumieć, drobnostka... na kieszonkowe wydatki. A panu radzę nie zwlekać, tylko od jutra do roboty.

I znikł za narożnikiem ulicy.

Wstyd mi się przyznać, ale... ale wróciwszy do domu, zacząłem ze starej fuzyjki mego ośmioletniego Kazia, konstruować browning... taki na pokaz... Ale i ten wystarczy.

OPOWIEŚĆ ZIMOWA

W początkach lutego jeden z kolegów szkolnych, zamożny obywatel ziemski zaprosił mnie na wieś. A ponieważ interesy moje były w owym czasie bardzo kiepskie więc zaproszenie z wielką chęcią przyjąłem i postanowiłem niezwłocznie jechać.

Obliczyłem, że na drogę będzie mi potrzeba sześciu sonetów a na przygotowania do podróży jednej dłuższej nowelli. Nowellę miałem na szczęście gotową, sonety napisałem przez noc, rano puściłem się na wędrowkę po znajomych redakcyjach, a los tak mi sprzyjał, że udało mi się nietylko utwory moje spieniężyć, ale zaciągnąć jeszcze nieprzewidywaną zaliczkę.

Byłem w złotym humorze.

Czekało mię parę tygodni wyrafinowanych rozkoszy sielskich a przede wszystkim zupełnego wytchnienia od wszelkich trosk. Wiedziałem, że jeśli kto rano zapuka do drzwi, to będę mógł swobodnie zawołać: "Proszę" i ujrzeć lokaja

wnoszącego śniadanie, a nie stróża z kwitkiem na komorne, lub krawca czy szewca. W dodatku mieszkałem w nowym domu, w którym nawet obficie opalane mieszkania były bardzo zimne, więc łatwo sobie wyobrazić jaki chłód panował w nieopalanych. Z tych wszystkich względów opuszczałem Warszawę radośnie. I tak mi pilno było z niej uciec, że na dobre pół godziny przed odejściem pociągu, byłem już na stacyi. Usiadłem w sali bufetowej, niecierpliwie wyczekując dzwonka. Osób na stacyi było stosunkowo niewiele i wszystko nieciekawe postaci. Jakiś ksiądz, jakiś oficer, jakaś otyła dama z czworgiem drobnych dzieci, dwóch szlagonów w zarzuconych na paltoty futrach — zwykli pasażerowie osobowych pociągów. Przyglądałem im się z pewnym rodzajem wyższości, myśląc, że oni wszyscy jadą zapewne za interesami a ja dla rozrywki...

I to sprawiało mi zadowolenie.

Naraz do sali weszła nowa podróżna.

Była to wysoka, szczupła brunetka o tak płomiennych oczach, że jedna chwila, w której się spojrzenia nasze skrzyżowały bardziej mię rozgrzała niż dwie szklanki gorącej herbaty, jakie poprzednio wypilem.

Dla fantazyi kazałem sobie podać kieliszek koniaku i zacząłem ją prześladować oczami.

Ona usiadła przy stole tyłem do mnie, ale obejrzała się po chwili. Musiała czuć na sobie

mój wzrok. Potem drugi raz. I zdawało mi się, że się przelotnie uśmiechnęła.

To wystarczyło, żeby podniecić moją wyobraźnię. Zaroiło mi się w mózgu od banalnych, ale tem niemniej bardzo plastycznych obrazów. I bez namysłu postanowiłem, że jej nie stracę z oczu i wsiądę do tego samego przedziału co i ona.

Znowu spojrzenia nasze się spotkały.

I znowu ten sam przelotny uśmiech, który w najgorszym razie świadczył, że piękna nieznajoma nie widzi nic w tem złego, że się jej tak uporczywie przyglądam.

Mogła mieć dwadzieścia cztery, pięć lat. Ubrana była przyzwoicie, ale bardzo skromnie; miała na sobie jakieś wiatrem podszyte futerko, i duży wełniany pled przerzucony przez ramię. Może nawet nie była tak piękna jak mi się w pierwszej chwili wydało. Ale to nie ostudziło mojego zapału. I z mniej piękną kobietą można wiele miłych chwil spędzić... Ani na chwilę nie spuszczałem z niej oczu. I gdy otworzono drzwi na peron stałem tuż tuż przy niej. Pomogłem jej wnieść do wagonu bagaż, który się składał z niewielkiej i dość wytartej walizki.

— Dziękuję — szepnęła, uśmiechając się przyjaźnie.

Miała bardzo ładny, namiętny głos.

A mnie ręce drżały ze wzruszenia. W przedziale było tylko nas dwoje i obiecywałem sobie

rozkoszną podróż. Wciąż patrzyłem na drzwi myśląc z niepokojem czy wejdzie jeszcze kto, czy nie wejdzie. A pociąg stał, jakgdyby nigdy ruszyć z miejsca nie miał zamiaru. Jestem wogóle bardzo wrażliwy, a w owej chwili oczekiwania i niepokoju dostałem formalnie gorączki.

Brunetka patrzyła przed siebie obojętnie i tylko za każdym razem, gdy się spojrzenia nasze spotykały uśmiechała się zlekka. Jej duże czarne oczy nabrały w mroku wagonu jakiegoś majestatycznego blasku.

Nareszcie rozległ się świst lokomotywy. Wagon się zatrząsł, koła szczęknęły głucho i pociąg ruszył.

Byliśmy sami.

Uczułem, że nadszedł "moment psychologiczny". Ale z czarowanej królowy bronił smok, którym była moja nieśmiałość. Wszystko szło dobrze, dopóki wpatrywałem się w nią i uśmiechałem. Kiedy należało zacząć rozmowę, uczułem się zakłopotanym i nie wiedziałem co mam mówić.

Ona po chwili przymknęła oczy. To mnie zaniepokoiło. Uśmiech i cała przygoda miłosna na nic.

Chrząknąłem, żeby zwrócić na siebie uwagę i odezwałem się:

— Pani daleko jedzie?

— Ja? Do Truskawca — odparła żywo. — A pan?

— Ja, ja także do Truskawca — skłamałem, uważając, że ten wspólny cel podróży zbliży nas do siebie.

Roześmiała się radośnie i klasnęła w dłonie.

— Doprawdy! Jak to się cudownie składa... Ja się tak strasznie bałam. Bo to przecież piętnaście wiorst końmi i przez las... Cały czas myślałam o tem i umierałam ze strachu, że będę musiała sama jechać. Weźmiemy razem sanki, dobrze?

— Ależ ma się rozumieć...

— Pan pierwszy raz do Truskawca?

— Pierwszy.

Wiedziałem coś, że Truskawiec to małe miasteczko czy osada, ale nic więcej. I nie mogłem sobie wyobrazić interesu, jaki bym mógł tam mieć. Aby więc uprzedzić pytania, bo moja brunetka zdawała się być strasznie ciekawą, zmieniłem temat rozmowy.

— Co za mróz dzisiaj...

Na nic oryginalniejszego nie umiałem się zdobyć.

— Mróz — potwierdziła. — Ale pan za lekko ubrany — dodała, obrzucając spojrzeniem moje palto. — Zmarznie pan w polu.

Wówczas wpadła mi pewna myśl do głowy.

— Usiądę przy pani, to nam będzie cieplej.

Roześmiała się.

— Tak pan sądzi...

Zachęcony jej śmiechem, zerwałem się z ławki, żeby zmienić miejsce, gdy w tej samej chwili drzwi się otworzyły i zakłócono nam słodkie sam na sam. Wszedł konduktor, a za nim, jak cień, wsunął się jakiś chudy ksiądz, objuczony pakunkami.

— O, tu księdzu będzie wygodniej — odezwał się konduktor, wskazując na moją ławkę.

I zaczął rozkładać pakunki.

Trudno mi opisać wściekłość jaka mię ogarnęła w tej chwili. Wszystko się tak wyjątkowo dobrze składało — i masz! Nie znalazł sobie w całym pociągu miejsca, musiał przyjść do naszego przedziału. Miałem niepohamowaną ochotę wstać i wyprosić go za drzwi i byłbym to bez namysłu uczynił, gdyby nie obawa przykrych następstw. Spojrzałem na moją towarzyszkę ciekaw, jakie na niej wywarło to wrażenie.

Uśmiechała się do księdza tak jak przed chwilą do mnie.

— Wdzięcz-że się do klechy, kiedy ci taki miły — pomyślałem rozgoryczony i odwróciwszy się tyłem do obojga, stanąłem w oknie. Przychodziły mi do głowy najfantastyczniejsze pomysły usunięcia księdza z wagonu, ale żaden z nich nie był wykonalny. W końcu została

mi tylko ta nadzieja, że mój mimowolny wróg nieprzyzwyczajony zapewne do nocnych podróży, za chwilę zaśnie.

Liczyłem na to. I usiadłem z powrotem na dawnym miejscu, oczekując niecierpliwie tej upragnionej chwili.

Ale ksiądz ani myślał spać. Siedział z szeroko otwartymi oczami i nie mogłem się nawet doczekać, żeby choć raz ziewnął. Za to ja sam po całodziennym podnieceniu zacząłem uczuwać zmęczenie. Oczy kleiły mi się do snu, głowa ciężła i wreszcie zasnąłem na dobre.

Jak długo spałem nie wiem. Obudziło mię nagle gwałtowne szarpnięcie za rękę.

— Panie, panie, zaspaliśmy! Wsiadajmy, bo w tej chwili pociąg już rusza...

Zerwałem się na równe nogi i zacząłem przecierać oczy. Spałem bardzo mocno i nie oprzytomniałem od razu.

— Niechże pan wysiada — wołała brunetka, popychając mię ku wyjściu. — O, jakież pan zaspany. Pomogę panu rzeczy wynieść.

I chwyciwszy swoje i moje zawiniątko, ruszyła ku drzwiom. Machinalnie poszedłem za nią. Ledwieśmy stanęli na peronie, pociąg ruszył.

Byłem jeszcze nawpół nieprzytomny.

— Co to za stacya? — zapytałem, przecierając oczy.

— Och, jakież pan zaspany — powtórzyła, śmiejąc się. — Można by pana zupełnie gdzieindziej zawieźć i nic by pan o tem nie wiedział.

— Ale co to za stacya?

— Truskawiec.

To słowo otrzeźwiło mię od razu.

— A, psia krew! — zakląłem zrozpaczony... — Ależ ja wcale do Truskawca nie jadę.

— Jakto nie?... Mówił pan przecież...

— Mówilem, mówiłem... A pani uwierzyła od razu...

— Eh, z panem się dogadać...

Wzruszyła ramionami, w milczeniu położyła mój pakunek na ziemi i odeszła.

Najwidoczniej nie troszczyła się wcale o to, czy jej dotrzymam towarzystwa.

I tem milczeniem zwyciężyła mię od razu. Zacząłem się wstydzić swego uniesienia.

Znalazłem się wprawdzie w głupiej sytuacji, ale na to dany jest człowiekowi rozum, żeby umiał głupiego udawać.

Zacząłem ją gorąco przeproszać.

— Niech mi pani wybaczy... nie wiedziałem wcale co mówię... Teraz dopiero obudziłem się naprawdę ze snu.

— Widzę to — odparła z uśmiechem.

— Nie gniewa się pani?

— Nie gniewam, ale nie stójmy tu na mrozie... Niech pan idzie lepiej sanie wynająć, do miasta piętnaście wiorst.

— Pani do krewnych?

— Nie, nie znam nikogo. Muszę w hotelu nocować.

W hotelu... To zapewnienie wróciło mi od razu mój złoty humor, jaki miałem przy wyjeździe z Warszawy. Znów stałem się wesół, rzeźki, pełen fantazyi i ochoty do życia. A przygoda moja zaczęła mię poprostu zachwycać. W myśli układałem już opowiadanie, którem miałem olśnić mego przyjaciela.

— No, zgadnij, dlaczegom się o całe dwa dni spóźnił...

I wyobrażałem sobie jak on i wszyscy sąsiedzi będą mi zazdrościli. Słyszałem już nawet toasty wznoszone za moje zdrowie...

Podniecony pobiegłem szukać sanek. Nawinęło się dwóch woźniców i po niedługich targach zgodziłem wreszcie jednego, który miał nas zawieźć do miasteczka. Rudy żyd zaklinał się na wszystko, że za parę minut będziemy na miejscu. I zdarł mię niemiłosiernie, ale nie chciałem się targować. Zbyt czem innem miałem głowę zajęta, żeby myśleć o oszczędności.

Po chwili usadowiliśmy się na saniach.

Siedziałem tuż obok niej i czułem rozkoszne ciepło jej ciała. Przynajmniej w owej chwili zdawało mi się, że to jest ciepło i że jest rozkoszne.

— Pani nie zimno?
— Nie... Ale pan zmarznie...

— Przy pani?

Mówiąc to, objąłem ją wpół i zlekka przycisnąłem do siebie. Nie stawiała najmniejszego oporu. Roześmiała się tylko wesoło i odrzekła:

— Przy mnie, przekona się pan bardzo prędko.

Woźnica cmoknął na konie, i sanie ruszyły. Prawie zaraz za stacją droga skręcała w las. W świetle księżyca drzewa okryte śniegiem tworzyły czarodziejski obraz. Zapatrzony zapomniałem na chwilę o swej sąsiadce. Przytulałem ją tylko coraz silniej do siebie i tak jechaliśmy w milczeniu.

Właściwie nie wiedziałem co mam mówić. Byłem zresztą zanadto wzruszony, żebym mógł podtrzymywać rozmowę. Serce biło mi niespokojnie w piersiach, chwilami brakło mi tchu.

Czułem jednak, że tego poetycznego milczenia za bardzo przedłużać nie można. Ale nie znajdowałem słów, odpowiednich do chwili. Przyciskałem ją więc tylko coraz mocniej i mocniej do boku, w ten sposób skądinąd dobry zresztą, wyrażając swoje uczucie.

"Ona" znosiła moje uściski z niewzruszonym spokojem. Patrzyła obojętnie przed siebie i wogóle zachowywała się tak, jakby sama siedziała w sankach. Po chwili dopiero poruszyła się niecierpliwie.

— Oj, bo mnie pan zadusi — rzekła, wyswabadzając się z moich objęć.

— Panu musi być bardzo zimno — dodała spoglądając na mnie ze współczuciem.

— Mnie zimno?... — zawołałem, tym razem szczerze już oburzony. — Ależ mnie gorączka trawi... Czy pani nie czuje jak mi serce bije?

— Bardzo?

— Bardzo!

— Niech pan pokaże... Położyła mi rękę na sercu.

To mnie ośmieliło i znowu objąłem ją wpół. Znowu ujechaliśmy z wiorstą w milczeniu. I wszystko by było jaknajpiękniej gdyby nie przekłety mróz. Zaczynał mi szczypać po twarzy i po palcach coraz dotkliwiej. Moje palto chroniło bardzo skutecznie od zimna w Warszawie — w pokoju, ale nie w szczerem polu i na mrozie. Po paru chwilach byłem już zupełnie skostniały, uszy, ręce, nogi piekły mię, jakgdybym je w ogień włożył. Ma się rozumieć w takim stanie człowiek nie jest zdolny do podbojów miłosnych. Puściłem moją towarzyszkę, i zacząłem chuchać na palce i rozcierać ręce. Ale nie wiele to pomogło.

Już mi się na płacz prawie zbierało.

Spostrzegła to.

— Niech się pan do mnie przysunie... Będzie nam cieplej.

Bardzo to było zachęcające, ale nie przysunąłem się. Inaczej się odczuwa wdzięki kobiecie w ciepłej sali, inaczej na silnym mrozie.

A ponieważ o własną głupotę zawsze człowiek innych posądza, więc i ja o to, że marzę, miałem żal tylko do niej.

I przeklinałem zrzędzenie losu, które kazało mi ją spotkać na stacyi.

Znowu ujechaliśmy ze dwie wiorsty. Byłem już zupełnie zdrętwiały z zimna, nie mogłem mówić, ruszać się, myśleć, przemieniłem się w martwą kłodę, która bezwładnie leżała na saniach.

Nagle z oddali doleciało szczekanie psów.

— No już — odezwała się moja towarzyszką, pociągając mię za rękę. — Niech pan nie śpi, bo pan zmarznie.

Mnie się zdawało, że zamarzłem dawno.

Jak we śnie pamiętam, żeśmy wjechali w jakieś opłotki, a później w ulicę, między

szeregi ciemnych, uśpionych domostw. Gdzie niegdzie przez szpary w okiennicach błyskało światło, później był plac, kościół, jakiś ogród i wreszcie sanie zatrzymały się przed piętrowym, murowanym domem.

Wówczas mój instynkt samozachowawczy, z którym w polu nie miałem co robić, z całą gwałtownością upomniał się o swoje prawa. Czulem, że żyje, ale, że życie to wisi na włosku. Wbiegłem, jak szalony, do sieni, zacząłem budzić ludzi, wołać i widocznie wygląd mój potrafił wzbudzić litość i przerażenie w najbardziej rozspanych sercach, bo wszyscy: gospodarz,

jego żona, córki, ciotki, cała służba na wyścigi zaczęli się krzątać koło mnie. Oczywiście o mojej brunetce nie myślałem już wcale. Piłem gorącą herbatę z arakiem, czulem jak ozywczce ciepło rozchodzi mi się powoli po ciele i poza tem nic nie istniało dla mnie na świecie.

Ale, kiedym się położył do łóżka, uczulem jakby lekkie dreszcze.

— Dobrze — pomyślałem — zapalenie płuc pewne.

Rozpacz mię ogarnęła. To, że moje zapaly miłosne przypłacę chorobą i śmiercią, wydawało mi się tak jasnym, niezbitym, tak nieubłagane koniecznym, że żalowałem już tylko, że nie zmarzył na saniach, że się ta męka odrazu nie skończyła.

Zdenerwowanie wybiło mię ze snu. Przewracałem się z boku na bok, nie mogąc usnąć. Próbowałem myśleć o najrozmaitszych rzeczach, potem liczyć do stu, do tysiąca, do dziesięciu tysięcy, ale wszystko napróżno. Wciąż miałem przed oczami wizję pogrzebu i ciała gnijącego w trumnie.

Niespodziewanie w moje ponure rozmyślenia wplótł się wesoły wybuch śmiechu.

Przestraszyłem się w pierwszej chwili. Myślałem, że to już gorączkowe przywidzenie. Ale nie, to był ludzki śmiech i w dodatku dziwnie mi znajomy.

Uniosłem głowę i zacząłem nadśluchować.

Przez cienkie drzwi doleciały mię jakieś tłumione, niewyraźne szepty, coś pośredniego między miauczeniem kota, szczekaniem psa a mową ludzką.

Zgasiłem świecę i na drzwiach zarysować się złocisty deseń. Z uciechą zauważyłem, że były pełne szpar.

Nie miałem już najmniejszej wątpliwości. W sąsiednim pokoju znajdowała się moja brunetka. Poznałem ją po śmiechu. I zdjęła mię gwałtowna ciekawość, żeby zobaczyć z czego się ona może tak cieszyć...

Na palcach podszedłem ku drzwiom i przytknąłem oko do szpary...

Widok był straszny...

Jakiś otyły, ospowaty blondyn z postrzępioną bródką i beczelnym wyrazem twarzy siedział na łóżku, trzymając w objęciach moją...

Nawet nie wiedziałem jak jej na imię.

A ona tuliła się do niego i zanosila od śmiechu. Mówili szeptem, slychać jednak było dobrze urywki rozmowy.

— Myślałam, że zmarznie...

— A to głupiec.

Wolałem dalej nie slychać. Przez jedną chwilę miałem chęć wywalić drzwi i pozabijać oboje. Pastwić się nad nimi, znęcać, nurzać we krwi. Byłoby to jednak trudne do wykonania i nieprzyjemne w skutkach. Po namyśle więc postanowiłem udawać, że mnie niema.

Najlepszym lekarstwem na bezsilność jest filozofia. Uzbroilem się w filozoficzny spokój i wróciłem do łóżka.

Ale spać nie mogłem... Wciąż mię budzili.

I wyjechałem rano niewyspany, bogatszy za to w jedno doświadczenie. I co ważniejsza, od tego czasu nabrałem wstrętu do zaczepiania nieznanomych kobiet.

Zwykle, kto niema szczęścia w grzechu, ten znajduje zadowolenie w cnocie.

SERB

Był ciepły wiosenny wieczór. Wacek Michniewicz nie zapalał lampy i po ciemku siedział w swoim pokoju. Po południu chodził dużo po mieście i wiosenne powietrze obudziło w nim szereg nieokreślonych tęsknot, które się potem przemieniły w dręczącą nudę. Przez otwarte okno widział kawałek nieba, przypatrywał się pierwszym migotliwym gwiazdom i czując w duszy potrzebę szafu, rozpamiętywał bezdenną nicość istnienia człowieka, który pragnieniem sławy musi zarabiać na życie.

Z przykrego tego stanu obudziło go gwałtowne pukanie do drzwi.

— Proszę — zawołał obojętnie, nie odwracając głowy.

Do pokoju wpadł bardzo szybko malarz Obojski.

— Cóż ty tak po ciemku siedzisz? — zapytał, zatrzymując się ze zdziwieniem.

— Tak... nie chce mi się światła zapalać — odparł melancholijnie Kazio.

— Mm, zły znak — mruknął Obojski.

I umilkł, jakgdyby straciwszy nagle fantazję z jaką wpadł do pokoju.

— Nigdzie cię nie widać, myślałem, żeś gdzie wyjechał — odezwał się Michniewicz, zapalając lampę dla uwydatnienia swej gościnności.

Właściwie wcale tego nie myślał. Wiedział doskonale, dlaczego Obojski przestał się udzielać przyjaciołom i znajomym. Od miesiąca był zakochany w pięknej Geni Pałaszyńskiej i to uczucie tak go pochłaniało, że już na nic innego nie miał czasu.

Ale Michniewicz postanowił być dyskretnym. Udawał, że nic nie wie, bo znał z widzenia Genię Pałaszyńską i bardzo mu się podobała. Widywał ją często na wyścigach, w "Nowościach", w Olejach i zawsze przyglądał jej się uporczywie. Piękna kokota jednak nie zwracała na te spojrzenia uwagi. Było mu zatem trochę przykro, że Obojski zna ją osobiście.

— Słuchaj — odezwał się nagle Obojski, chwytając go nerwowo za guzik od marynarki — masz pieniądze?

— Nie mam — odparł lakonicznie Michniewicz.

— Psiakrew — zaklął malarz. — Coś musisz mieć przecież?

— Pół rubla.

Miał dwa ruble przeszło; ze względu jednak na zażyłe stósunki, jakie go z malarzem

łączyły, wolał się nie przyznawać do całej sumy.

— Pół rubla... za mało, za mało — jęczał złamanym głosem Michniewicz.

— Na cóż ci tak gwałtownie potrzeba?...

— Odwożę Genię Pałaszyńską do domu... nie mam czym dryndy zapłacić... nie mogę przecież pozwolić, żeby ona płaciła... Tak jestem wyjątkowo goły, jak nigdy...

Zatrzymałem dorożkę przed bramą, przeprosiłem ją, że mam do ciebie nadzwyczaj ważny interes i wpadłem na górę. O psiakrew, co za podłe życie- biadał, kręcąc się gorączkowo po pokoju.

Tragizm sytuacji wzruszył Michniewicza. Lecz wstyd mu było przyznać się teraz do posiadania pieniędzy.

— Ja mam jeszcze rubla — zaczął niezdecydowanym głosem — ale to nie mój. Zaraz tu facet przyjdzie...

Obojski rzucił się ku niemu jak tygrys.

— Zmiłuj się, daj... zrozumiem, nie mogę przecież wszystkich znajomych objeżdżać i kazać jej wszędzie czekać przed bramą. Albo wiesz co, chodź, przedstawię cię,

pojedziemy razem do niej na herbatę, a ty dorożkarza zapłacisz.
— Doskonale — odparł Michniewicz, chwytając za kapelusz.
W złotych humorach zbiegli obaj po schodach.

— Ja już dawno chciałem cię z nią poznać — mówił przyjacielowi Obojski — tylko się tak jakoś nie składało. Pojęcia nie masz, jaka to bajeczna kobieta... O wszystkim można z nią mówić, wszystko wie, wszystko czytała, a jak ona sztukę odczuwa... Ma doskonały stary koniak, zobaczysz, że się zabawimy jak nigdy. Przed bramą w eleganckiej dwukonnej dorożce siedziała tęga, przystojna blondyna. Obojski podbiegł ku niej rozpromieniony.

— Panno Geniu — zawołał, całując ją po przyjacielsku w rękę. — Niech mi pani wybaczy, że tak długo siedziałem na górze. Mój przyjaciel, literat Michniewicz — przedstawił towarzysza.

Panna Genia z dystynkcyą skłoniła głowę.

Dorożka ruszyła.

— Pozwoliłem sobie w pani imieniu zaprosić go na herbatę — ciągnął ożywiony Obojski. — Urządzimy sobie artystyczną pogadankę.

— Pan również artysta? — spytała panna Genia, cedząc powoli wyrazy. W ten sposób mówiła zawsze, ilekroć chciała zaznaczyć staranne wychowanie.

— Poeta — odparł za przyjaciela Obojski.

— Jak to dobrze — zachwyciła się piękna "precieuse". — Ja ogromnie lubię poezję.

Musi nam pan jakiś wiersz zadeklamować.

Michniewicz przyrzekł.

Pannę Genię owiewał subtelny zapach drogich perfum. Zapach ten dziwnie drażnił zmysły. Przytem Michniewicz kolanem swoim dotykał jej kolan i przez lekką suknię wyczuwał rozkoszne ciepło młodego, jędrnego ciała.

W jednej chwili zapomniał o melancholii, zniechęceniu i wszystkim co go nękało.

Zamienili jeszcze parę słów i dorożka zatrzymała się przed bramą wysokiej, secesyjnej kamienicy.

— Chodźcie na górę, dam wam kawy i koniaku — zawołała Genia, wyskakując zręcznie na chodnik. Uważała już Michniewicza za dobrego znajomego i nie czuła się zobowiązaną do dystynkcyi.

Wesoło rozmawiając weszli na schody.

Na drugim piętrze panna Genia zadzwoniła raz, drugi — nikt nie otwierał.

— Oho, Melcia znowu pewno flirtuje z lokajem od doktora — odezwał się Obojski tonem bywalca, wtajemniczonego we wszystkie sekrety domowe. — Służąca panny Geni jest zakochana po uszy... — objaśniał Michniewicza.

Ale w tej chwili za drzwiami rozległ się brzęk ostróg i po chwili otworzył je młody, przystojny ułan.

Widząc pannę Genię w towarzystwie dwóch młodych mężczyzn, cofnął się o krok w tył z wyrazem przykrego zdziwienia w oczach. Obojski i Michniewicz — zmieszani trochę, również się cofnęli.

Tylko panna Genia wybuchnęła wesołym śmiechem:

— Kola! — zawołała, witając serdecznie ułana. — Byłam najpewniejsza, że dziś nie przyjdiesz... Chodźcież panowie --- zwróciła się do literata i malarza. — Pan Michniewicz, pan Obojski, moi znajomi artyści — przedstawiała ich oficerowi. Ułan ukłonił się z wyszukaną grzecznością.

— Panowie byli tak łaskawi, że mię odprowadzili do domu i zaprosiłam ich na herbatę — ciągnęła Genia, jakgdyby usprawiedliwiając się przed wojskowym z obecności przyjaciół.

Michniewicz odczuł to w tonie jej głosu i zły był na siebie, że przyszedł.

Obojski nadrabiał miną, ale także stracił fantazję.

Panna Genia, od miesiąca, kochała się w nim na śmierć i życie, ale malarz zadawała tylko jej sercowe potrzeby. Poza tem miała jeszcze bardzo wiele innych potrzeb, może mniej wzniosłych, lecz równie niezbędnych i troska o nie należała do młodego przedstawiciela armii.

Był to młody, zdrowy chłopiec o bardzo jasnych włosach i bardzo czerwonej twarzy. Szczelnie opięty mundur uwydatniał herkulesowe kształty. Był zresztą bardzo przyjacielski i bardzo dobrze wychowany. Czując się gospodarzem w mieszkaniu panny Geni, gościnnie zapraszał obu przyjaciół do salonu.

Weszli. Panna Genia, przeprosiwszy mężczyzn, że się musi przebrać, znikła za drzwiami sypialni. Wróciła po chwili, ubrana w prześliczny japoński szlafrok, w którym wyglądała jeszcze piękniej i ponętniej niż w spacerowym kostymie.

— O czym panowie rozmawiali? — zwróciła się do Obojskiego.

Trudno było na to pytanie odpowiedzieć, bo przez cały czas jej nieobecności w salonie panowało kłopotliwe milczenie. Stosunki towarzyskie trzech panów ograniczyły się do uśmiechów, ukłonów, wzajemnego częstowania papierosami i ustawicznych sporów o to, kto ma pierwszy papierosa zapalić. Rozmowa się nie kleiła. Próbował ją nawiązać ułan. Zauważył łamaną polszczyzną że jest piękny dzień. Michniewicz i Obojski z głębokim przeświadczeniem przyznali mu słusność i na tem się skończyło.

Genia zaczęła mówić za wszystkich.

Z głośnym śmiechem opowiadała jakiś zabawny epizod z wyścigów.

Mężczyźni słuchając jej, śmieli się również ale nieszczerze. I nastrój panujący w salonie stawał się coraz bardziej fałszywy i sztywny. Ułan czekał niecierpliwie, żeby Michniewicz i Obojski wyszli; oni obaj, straciwszy wszelką nadzieję miłego spędzenia wieczoru, starali się tylko odsiedzieć pewien czas dla zachowania pozorów wizyty. Zwłaszcza Michniewicz był zde-

nerwowany. Oczami wciąż dawał znaki Obojskiemu.

Malarz wstał wreszcie.

Zaczęli się żegnać.

— Niech też panowie nie zapominają o mnie — prosiła Genia, ściskając ich serdecznie za ręce.

W przedpokoju szeptała coś jeszcze po cichu z Obojskim.

Obaj w milczeniu zeszli ze schodów.

Obojski przez zaciśnięte zęby gwizdał jakiegoś walca. Michniewicz strasznie zły, układał w myśli zjadliwy frazes, żeby nim malarzowi dokuczyć.

— To ona żyje stale z tym ułanem? — zaczął po chwili milczenia.

— Tak — odparł krótko Obojski.

I zdając sobie nagle sprawę z głupiej i przykłej sytuacji, w jakiej wobec przyjaciela postawiła go ta wizyta, zwrócił się szybko ku niemu:

— Ale ty nie myśl — dodał — że to jest Moskal — to Serb.

OBRONCA HONORU.

Gabinet dentysty.

Okazały mężczyzna, łysy z długą, siwą brodą stoi pośrodku pokoju w wyczekującej postawie. To właśnie dentysta. Uszczęśliwiwszy jednego pacyenta, oczekuje następnego. Po chwili, uchylając gwałtownie portyery, która osłania drzwi od poczekalni do gabinetu, wbiega nerwowym krokiem pani Ewa. Dentysta wita ją poważnym ukłonem i uprzejmym ruchem dłoni wskazuje jej fotel.

PANI EWA.
Panie doktorze...

DENTYSTA.
Pani będzie łaskawa zapanować nad wzruszeniem. Mam nadzieję, że za chwilę wszystko będzie dobrze. Proszę (powtórnie jeszcze bardziej zachęcającym ruchem wskazuje jej fotel), niech pani spocznie.

PANI EWA.
Ale...

DENTYSTA (z wyszukaną uprzejmością).
Słucham. Pani Ewa nic nie odpowiada. Nagle podnosi chusteczkę od nosa do oczu i poczyną gwałtownie płakać.

DENTYSTA.
Ależ proszę się uspokoić. Bardzo być może, że się obejdzie bez wyrwania.

PANI EWA.
Nie... nie... pan musi wyrwać.

DENTYSTA.
Zobaczmy. O ile się da uratować...

PANI EWA.
Nie... mnie musi pan wyrwać.

DENTYSTA (z wyrozumiałym uśmiechem człowieka, który przywykł do wszelkich objawów zdenerwowania).
To się pokaże... Niech pani spocznie, uspokoi się... a teraz zobaczmy. Proszę otworzyć usta, o tak... troszeczkę szerzej. Który to ząbek?

PANI EWA.
Wszystko jedno.

DENTYSTA.
Jak to? Przecież pani musi czuć, który boli.

PANI EWA.
Mnie żaden nie boli, to jest mnie bolą wszystkie... Niech pan wybierze jakikolwiek, byle jaknajprędzej.

DENTYSTA (zdziwiony).
Ależ... (po chwili). Pani ma jaknajzdrowsze ząbki. Nie pojmuję, doprawdy.

Z poczekalni dobiega odgłos ożywionej rozmowy. Pomimo ciężkiej portyery, osłaniającej drzwi, dolatują urywane wyrazy, mówione podniesionym głosem. Niespodziewany ten hałas niepokoi i dziwi widocznie dentystę, który, zapominając chwilowo o obecności pani Ewy, zwraca głowę w stronę drzwi i poczyną się przysłuchiwać.

PANI EWA (chwyając go gwałtownie za rękę).
Na miłość Boga, rwij pan...

DENTYSTA.
Niechżeż pani zapanuje nad swymi nerwami. Niema najmniejszej potrzeby.

PANI EWA.

Jest Ani chwili niema do stracenia. Rwij pan.

DENTYSTA.

Skoro jednak ja panią zapewniam...

PANI EWA.

Skoro ja pana proszę i płacę za to...

DENTYSTA (zniecierpliwiony).

Nie mogę stosować się do wymagań, które uważam za bezzasadne...

PANI EWA.

Ale ja mam prawo chyba rozporządzać moimi zębami.

DENTYSTA.

Raz jeszcze zapewniam panią, że niema najmniejszej potrzeby.

PANI EWA.

Jest. Ja muszę mieć swój ząb...

DENTYSTA.

Co?

PANI EWA.

Ząb... którykolwiek z moich zębów... Błagam pana, nie traćmy czasu na próżne rozmowy. Rwij pan...

DENTYSTA.

Ależ, pani...

PANI EWA.

Ja się nie ruszę stąd inaczej...

DENTYSTA.

Doprawdy stawia mnie pani w przykrem położeniu...

PANI EWA.

O cóż chodzi... O jeden głupi ząb. Jeśli pan nie chce wydrzeć mi szczęścia, niech mi pan wyrwie ten jeden ząb.

DENTYSTA.

Narazi się pani na straszny ból.

PANI EWA.

Zniosę.

DENTYSTA.

Ja jednak nie mogę.

Hałas za drzwiami wzmaga się. Najwyraźniej słychać sprzeczkę dwóch ludzi, z których jeden usiłuje przedostać się do gabinetu, a drugi broni mu dostępu.

DENTYSTA.

Najmocniej panią przepraszam, (zwraca się ku drzwiom).

Pani Ewa zrywa się z fotelu i jednym skokiem znajduje się pod drzwiami.

DENTYSTA.

Pani.

PANI EWA (kładąc palec na ustach).

Cicho...

DENTYSTA.

Co to znaczy?

PANI EWA (szepcem).

Rwij pan... On tam jest. Rwij już pan (z płaczem) Boże, Boże, jaki z pana niedobry człowiek.

DENTYSTA.

Któż tam jest?

PANI EWA.

Mój Mąż.

DENTYSTA.

Doskonale — niechże on panią zapewni.

PANI EWA.

Cicho... Nie tak głośno...

DENTYSTA (zmieniając nagle ton).

Dobrze, skoro pani tak na tem zależy, to dlaczegoż nie mam zrobić jej tej przyjemności... Niech pani spocznie... Ale może przyjemniej pani będzie, gdy mąż będzie przy tem obecny?

PANI EWA.

Panie doktorze, ja widzę, że pan mnie uważa za waryatkę.

DENTYSTA.

Skądże... Jest pani trochę zdenerwowana, ale to zwykła rzecz przy bólu zębów. Więc poprosimy tu męża, dobrze?

PANI EWA (chwyając go konwulsyjnie za rękę).

Na miłość Boga...

DENTYSTA.

Co?

PANI EWA.

Przysięgam panu, że nie jestem waryatka, nie jestem nawet zdenerwowana.

DENTYSTA.

W takim razie już nic nie rozumiem.

PANI EWA.

Pocóż ma pan rozumieć... Rwij pan.

DENTYSTA.

Pani pozwoli, że zawołam męża.

PANI EWA.

Więc wyznam panu wszystko. Spodziewam się, że mam do czynienia z człowiekiem honoru.

DENTYSTA (z godnością).

Pani, chyba jej ząb jest najlepszym tego dowodem.

PANI EWA.

Jaki ząb?

DENTYSTA.

No ten, którego nie chciałem wyrwać... dla zasady.

PANI EWA.

A musi pan i to zaraz... Chodzi o szczęście dwojga ludzi.

DENTYSTA.

O szczęście?

PANI EWA.

Tak... Przysięgnie mi pan tajemnicę.

DENTYSTA.

Lekarz jest jak spowiednik.

PANI EWA.

Postanowiłam zdradzić męża.

DENTYSTA.

I ząb pani zawadza...

PANI EWA.

Pierwszy raz w życiu...

DENTYSTA.

Ale cóż mnie to obchodzi.

PANI EWA.

Mąż mnie śledzi...

DENTYSTA.

Musi być zazdrosny.

PANI EWA.

Strasznie.

DENTYSTA.

Nie dziwię mu się...

PANI EWA.

Zdradziłam go na tych samych schodach.

DENTYSTA.

Na schodach?...

PANI EWA.

W mieszkaniu przy tych samych schodach, po których idzie się do pana. Wychodząc, spostrzegłam go... Stał o dwa piętra niżej... Ale na szczęście przechyliłam się przez poręcz... Boże, co za twarz... Błady, usta zaciśnięte, przysięgłabym, że miał rewolwer w kieszeni... Udałam, że go nie widzę i wpadłam do pana.

DENTYSTA.

Aha...

PANI EWA.

Muszę mu zęb pokazać, inaczej nie uwierzy. To on jest w poczekalni i dobija się tu...

DENTYSTA.

Lokaj nie wpuści.

PANI EWA.

Ach, on taki gwałtowny... Rwij pan, teraz już pan wie wszystko... rwij pan. Chodzi o honor kobiety.

DENTYSTA.

Skoro tak (bierze szczypce). Proszę otworzyć usta... Pierwszy raz w całej mojej karierze

zdarza mi się podobny wypadek i właściwie pierwszy raz popełniam czyn nieuczciwy.

PANI EWA.

Ratuje pan honor kobiety.

DENTYSTA.

Ale jakżeż ja, poważny lekarz., mam się wdawać w tego rodzaju...

PANI EWA.

I uspokaja pan miłość mężczyzny.

DENTYSTA.

Któryż ja ząb mam pani wyrwać?

PANI EWA.

Wszystko jedno, byle nie na przodzie.

Z po za drzwi dolatuje znów gwar ożywionej sprzeczki.

DENTYSTA.

A jednak ja mężowi pani muszę zwrócić uwagę, że nawet zazdrość nie upoważnia do podobnego zachowywania się w cudzym mieszkaniu.

PANI EWA.

On tu lada chwila wejdzie.

DENTYSTA.

Pierwszy raz w życiu występuję w roli obrońcy honoru kobiecego.

PANI EWA.

Jakto, nigdy go pan nie bronił?

DENTYSTA (zawstydzony swą szczerością).

Jako dentysta (po chwili, podkreślając zalotnie wąsa). Ale mam nadzieję, że za tak niezwykłą operację, otrzymam przynajmniej i jakieś niezwykle honorarium.

PANI EWA.

Otrzyma pan. Otrzyma... tylko prędej, niech się to już raz skończy.

DENTYSTA.

Doprawdy, nie mam serca.

PANI EWA.

Odwagi, panie...

DENTYSTA.

To przecież straszny ból.

PANI EWA.

Nie tak straszny, jak się panu zdaje. Raz, dwa i po wszystkim. Prędej.

Otwiera usta, po chwili rozlega się przeraźliwy krzyk. Jednocześnie wpada do gabinetu mąż pani Ewy, szamocąc się w progu z lokajem, który usiłuje go nie wpuścić.

LOKAJ.

Ależ, proszę pana.

MAŻ.

Wynoś się do diabła!

DENTYSTA (oburzony).

Jakiem prawem pan śmie...

MAŻ (podbiegając do fotelu, na którym leży zemdlnona pani Ewa).

Zemdlała, wody...

Obaj z dentystą poczynają ją cucić. Po chwili pani Ewa wraca do przytomności. Otwiera oczy i wyciąga ku mężowi ręce, które on poczyną okrywać namiętymi pocałunkami. Dentysta, wobec tej sceny małżeńskiego roztkliwienia, usuwa się dyskretnie na stronę.

PANI EWA (słabym głosem).

Skąd się tu wziąłeś?

MAŻ (zmięszony, nie wiedząc, co skłamać ma na razie).

Doprawdy... sam nie wiem... przecucie mnie przywiodło. Cierpiałś bardzo?

PANI EWA.

Strasznie.

MAŻ.

A ja...

PANI EWA.

Co?

MAŻ.

Nie... nie... (ponownie zaczyna ją całować po rękach)
Czemżeś mi nic nie powiedziała, że się wybierasz do dentysty.

PANI EWA.
Tyś taki wrażliwy... Nie chciałam cię lękać.

MAŻ (z entuzjazmem zwracając się do dentysty).
Prawda, panie, że to bohaterstwo?

DENTYSTA.
Stanowczo.

MAŻ.
Ja sam nie wiem, czybym się tak szybko zdecydował na operację.

DENTYSTA.
Muszę przyznać, że żona pańska zaimponowała mi odwagą.

MAŻ.
Ale czyż koniecznie trzeba było ząb wyrwać?

DENTYSTA.
Koniecznie.

MAŻ.
Zepsuty był?

DENTYSTA.
Doszczętnie. Może pan być przekonany zresztą, że skoro postanowiłem go usunąć, to już innego sposobu wyleczenia nie było.

MAŻ.
Nie wątpię. (Zwracając się do pani Ewy). Nie wiedziałem tylko, żeś ty miała tak popsuty ząb.

PANI EWA.
To jeszcze z panięskich czasów.

DENTYSTA.
Właściwie nie ząb, a pieniek. Trzeba go było usunąć. Inaczej mogły się wyrodzić poważne komplikacje.

MAŻ.
Serdecznie panu dziękuję.
(Ściska dentystę za rękę. W tej samej chwili wzrok jego pada na prześliczny ząbek pani Ewy, który tkwi jeszcze w stalowych szczypcach, nieuważnie, w chwili zamieszania, pozostawionych przez dentystę na widocznym miejscu).

MAŻ (zdziwiony i oburzony).
Ależ...

DENTYSTA.
Co?

MAŻ (nie zwracając na niego uwagi do pani Ewy).
On ci nie ten ząb wyrwał.

PANI EWA.
Ten sam — napewno.

MAŻ.
Nie czujesz w tej chwili, bo masz całą twarz obolałą... Ale ja widzę przecież, że to jest jaknajzdrowszy ząb.

DENTYSTA.
Zdaje się panu, bo się pan nie zna na tem.

MAŻ.
Mój panie, czy pan sobie kpi ze mnie. Niby to pan jesteś dentysta i pan to nazywasz popsutym zębem, pan to nazywasz pieńkiem... Idyotą trzeba być...

DENTYSTA.
Jak pan śmie odzywać się do mnie w ten sposób?

MAŻ.
A pan jak śmie dla nędznego zarobku narażać ludzi na ból... Wydrwigrosz!

PANI EWA.
Chodźmy... na miłość Boga chodźmy stąd.

DENTYSTA.
Pańska żona błagała mię, żebym jej ten ząb wyrwał.

MAŻ.
Słyszysz, co ten bałwan gada?

DENTYSTA.
Pan mi zdasz sprawę!

MAŻ.
Ja panu zdrowy ząb każę wyrwać. Wtedy może się pan nauczyć obchodzić z chorymi-

PANI EWA.
Pójdź, pójdź! (przemocą ciągnie męża ku drzwiom.)

DENTYSTA.
A moje honorarium?

MAŻ.
Jeszcze mam panu płacić, za co?

DENTYSTA.
Skoro czas tracę dla głupich fantazyi pańskiej żony.

MAŻ.
Gbur, dureń... On jeszcze śmie obrażać honor kobiety.

PANI EWA.
Przebacz mu! (Z rozkrzyżowanymi rękami zastępuje mężowi drogę).

DENTYSTA.
Więc pani mąż mnie ma przebaczyć?

MAŻ.

Właściwie kijem powinienem pana obić i do sądu zaskarżyć. Tak... ani słowa. Bohaterstwu mojej żony niech pan zawdzięcza, że panu to wszystko na sucho dziś uszło. Słyszałaś, co ten oprawca powiedział: "Tracę czas dla głupich fantazy pańskiej żony".

PANI EWA.

Błagam cię, chodźmy już raz stąd.

MAŻ.

Przebaczasz mu?

PANI EWA.

Przebaczam.

MAŻ.

Masz rację. Szkoda łaski na to indywiduum (Od drzwi raz jeszcze zwracając się do dentysty). Gdy-
by nie wzgląd na pańskie siwe włosy, nauczyłbym pana, jak należy bronić honoru kobiety.

Oboje wychodzą.

W ARCE.

Scena przedstawia wnętrze Arki Noego — w tej części mianowicie, która służy na pomieszczenie dla patryjarchy i jego rodziny. Noe i pani Noe drzemią na posłaniu, a dzieci ich, Sem, Cham i Jafet przechadzają się po kajucie ze znużeniem minami. Raz po raz któryś zbliża się do niewielkiego okienka i wygląda przez nie na morze. Widocznym jest, że wszystkim obrzydły już rozkosze tej nawigacji, która trwa nieco przydługo, bo jest właśnie trzydziesty ósmy dzień odkąd świat skrył się pod wodą. Uwzględniwszy bardzo pierwotny stan ówczesnej techniki okrętowej, łatwo można pojąć to znużenie. Z poza ściany, skleconej z desek dolatuje gdakanie kur, ryk wołów, rzenie koni, trele słowików, miauczenie kotów, sapanie mastodontów, które raz poraz milknie to znów się wzmagają, łącząc się z jednostajnym poszumem fal.

NOE (budząc się ze snu, podnosi głowę).

Sem... Sem...

SEM.

Słucham, papo...

NOE.

Wyjrzyj no tam, czy woda nie opada jeszcze.

SEM.

Nie...

CHAM.

To przekłete deszczysko wciąż leje i leje... Oszaleć można doprawdy.

JAFET.

To prawda, że nudy wściekle... Przed potopem nie było wesoło, ale teraz.

CHAM.

Ja już patrzeć na wodę nie mogę. Dziś rano nie myłem się wcale.

NOE.

A też znać to... Brudny jesteś, że przykro patrzeć na ciebie.

CHAM.

To niech Ojciec nie patrzy.

NOE.

Mógłbyś się grzeczniej do ojca odzywać.

PANI NOE (którą odgłos sprzeczki zbudził ze snu).

Już się kłóćcie...

NOE.

Co ten Cham ma za wyrażenia jakieś... Ja nie wiem gdzie on się tego ponauczał.

PANI NOE (wzdycha z rezygnacją).

Ach, Cham — wychodzi do sąsiedniej przegrody — po chwili dolatuje stamtąd płaczliwy jej głos: A jej... jej...

NOE.

Co się stało.

PANI NOE (wchodząc).

Znów jaguar zjadł kukulkę... Nie, doprawdy, ja się już nawet chwili zdrzemnąć nie mogę. Prosiłam, żebyście zwracali uwagę, czterech was drabów tu siedzi, a jak ja czego sama nie dopilnuję, to już napewno nikt się tem nie zajmie...
(wychodzi).

NOE.

To prawda. Matka cały dzień pracuje, więc gdy chce chwilę odpocząć to moglibyście ją wyręczyć. I tak po całych dniach nic nie robicie... Ale to się zmieni, jak tylko woda opadnie.

CHAM. (uśmiecha klę ironicznie pod wąsem.)

NOE.

Śmieję się... śmieję, ja ci się pośmieję.

PANI NOE (wchodząc).

Najpocziwsze stworzenie to jest osieł. Jedno przynajmniej które ma rozum.

NOE.

To też osłom zawsze będzie najlepiej na świecie. (przeciąga się). A swoją drogą, chciałbym już, żeby się ta nasza podróż skończyła.

CHAM.

A to wszystko przez prababkę Ewę... Zachciało jej się rajskich jabłek.

NOE.

Cicho bądź. O przodkach powinno się mówić z uszanowaniem.

CHAM.

Rzeczywiście. Z ładnej rodziny pochodzimy. Prababka zrobiła faux-pas z wężem, dziadek Kain zamordował brata... Skandal na skandalu całe szczęście, bo inaczej człowiek byłby narażony na to, żeby go nigdzie w towarzystwie nie chciano przyjmować.

PANI NOE.

Chamie, Chamie jak ty się nie zmienisz to ciebie nigdy do porządnego domu nie wpuszczą.

CHAM (macha ręką).

Chwila ogólnej ciszy. Arka płynie, kołysząc się na falach.

JAFET.

Pić mi się chce.

NOE.

Mało masz wody dookoła...

JAFET.

Ja już nie mogę wody pić... już mi się znudziło.

SEM.

I mnie...

PANI NOE.

To pojęcie ludzkie przechodzi doprawdy, co się z tymi chłopakami porobiło... Wszystko im nie wystarcza, wszystko im złe. Stoi cała kadź doskonałej denerówki, a oni pić nie chcą. A róbcie sobie, co chcecie, ja już mam dość kłopotu z moimi bydłakami, żebym się wami jeszcze zajmować miała.

SEM.

Mama narzeka, a woda już się wszystkim sprzykrzyła... I ojcu także...

PANI NOE (z wyrzutem).

I tobie...

NOE.

Nie... nie... Wolałbym, żeby miało trochę inny smak, ale lubię... bardzo lubię...

SEM.

Że też to nic innego niema na świecie do picia prócz wody.

CHAM.

A ci aniołowie, co to się pobuntowali jeszcze nim pradziadek Adam Raj kupił to podobno pijają smołę.

JAFET.

To strasznie pali podobno.

PANI NOE.

Pali... ma się rozumieć, że pali...

CHAM.

Oni mają gardła inne.

PANI NOE.

Ty masz mózg inny (po chwili sentencjonalnie). Zawsze jak ktoś chce mieć za dużo to w końcu nic niema. Ta sama historia była z Adamostwem... Nic złego nie chce mówić, pomarli są na sądzie Bożym, ale gdyby waszej prababce nie zachciało się było stroić, sprawiać sobie figowych sukien to do dziś dnia byliby siedzieli w Raju i wszystkim nam byłoby lepiej. Rozrzutność zawsze gubi ludzi.

NOE.

To prawda... majątek był śliczny, doskonale wygospodarowany i wszystko poszło na marne... Teraz człowiek musi się tłuc po świecie.

CHAM.

Głupie jest życie.

JAFET (płaczliwym głosem).

A mnie się pić chce.

NOE (wzrusza niecierpliwie ramionami).

Jak ci woda nie smakuje to sobie wymyśl jaki inny napój, a nas nie zanudzaj narzekaniami, bo i tak-to wszystko wcale nie jest wesołe.

Jafet odchodzi w kąt z obrażoną miną. Znow chwila ogólnej ciszy. Arka płynie kołyszając się na falach.

NOE.

Ile to my już dni tak pływamy?

PANI NOE.

Trzydzieści ośm...

NOE.

Ładna podróż, niema co mówić... I kiedy to się skończy.

PANI NOE.

Cierpliwości.

NOE (szepcem, tak, żeby dzieci nie słyszały).

Wiesz, przyznam ci się, że umieram z pragnienia a i ja już na wodę patrzeć nie mogę... Nie mówię tego głośno.

PANI NOE.

Cóż ja ci poradzę.

NOE.

Wiem, że nic (trze się ręką po czole: po chwili): mam myśl.

PANI NOE.

Cóżeś wymyślił.

NOE.

Wszak mamy ze sobą zapas winogron.

PANI NOE.

Mamy.

NOE.

Żeby tak trochę soku z nich wycisnąć... Zdaje mi się, że to mogłoby być niezłe.

PANI NOE.

Oszalałeś? Nie, słowo daję, z tej podróży, to już wam wszystkim w głowach się poprzekreślało. Ja będę dla jego urojenia winogrona niszczyła.

NOE.

Nie... nie... już się tylko nie gniewaj, ja sobie tak powiedziałem przez żart.

PANI NOE.

Głupi żart.

NOE (po chwili):

No, bawcie się, jak możecie, a ja się trochę prześpię... Tak mi się (ziewa) oczy kleją (wstaje).

PANI NOE.

Dokąd że ty idziesz?

NOE.

Do spiżarni.

PANI NOE.

Tam będziesz spał?

NOE.

Tam. Tu się chodzi, rozmawia, tam ciszej. Zbudzicie mnie o zmierzchu.

JAFET.

Ojciec ma rację. To najmądrzejsze, co można jeszcze zrobić. I ja się prześpię (kładzie się na posłaniu).

PANI NOE.

Szczęśliwi z was ludzie. Z jaką jabym się rozkoszą zdrzemnęła. Tylko że ja nigdy się nie mam kim wyręczyć.

SEM.

Niech mama śpi.

PANI NOE.

A tam znów mi się zwierzęta pozjadają.

CHAM.

Wielka rzecz będzie o jedno bydło mniej na świecie.

PANI NOE (sennym głosem).

Ten szum wody tak usypia. Poleżę chwileczkę.

Kładzie się i zasypia. Niebawem wszyscy zasypiają, prócz Noego. Patriarcha, zamknąwszy się w spiżarni niby to dla drzemki, stał podedrzwiami i podsłuchiwał. Gdy ogólne chrapanie przekonało go, że wszyscy pozasypiali, sięgnął po winogrona: począł z nich wytłaczać sok do tykwy. Pani Noe nie przewidziała podstępu męża. W owych czasach kobiety nie były jeszcze tak podejrzliwe jak

dzisiaj.

NOE. nalewa sobie winnego soku z tykwy do kubka i pije powoli.
Pyszne (nalewa drugi kubek, wychyla go duszkiem, potem trzeci). Znakomite...
Uf... Rozjaśniło mi się nareszcie w głowie.. Napiałbym się jeszcze, ale stara
zrobi awanturę, jak jej za dużo winogron zniszczę... (waha się przez chwilę). Eh,
Co tam... pozwolę sobie na jeszcze jeden kubek, należy mi się to święcie
(pije)Biedni ludziska, co to ich poginęło przez ten przeklęty potop... ha czemu
grzeszyli sprawiedliwy nigdy nie zginie... (pije) U, rozjaśniło mi się w głowie,
mógłbym teraz nowe trzydzieści ośm dni tak pływać... Przecie to się raz
skończy... (pije) Teraz ziemia napewno będzie tańsza, to może się uda i Raj
odkupić... Znów będziemy obywatelami... Powiem starej i chłopakom dobrą nowinę,
niech się ucieszą

(chwiejnym krokiem, ale z wesołą miną przechodzi do ogólnej kajuty).
Cóż wy tu śpicie jak susły, wstawajcie.

PANI NOE (przerażona).
Co się stało...

NOE.
Uważasz... sprawiedliwy nigdy nie zgi... nie. To ja ci to mówię... Odkupimy
Raj...

PANI NOE.
Ty masz czkawkę.

NOE.
Sp... sprawiedliwy niema cz.. czkawki.

PANI NOE.
On oszalał.

NOE.
Odkupimy Raj.

PANI NOE.
Co ty pleciesz?

NOE.
Dotychczas nie wiedziałem, a teraz wiem: A to wszystko dlatego, że się napił
soku z winogron. Pijcie chłopcy... Teraz możemy sobie do sądnego dnia pływać...
Phi, wielka rzecz... Pływać to pływać...

PANI NOE (biegnąc ku spiżarni).
Moje winogrona... Ty opoju... (zaczyna płakać) Nie, ja na chwilę oczu zmrużyć
nie mogę.

SEM.
Niech mnie mama da tego soku...

JAFET.
I mnie.

PANI NOE.
Ja wam pokażę sok... (do Noego) I nie wstyd ci taki przykład dzieciom dawać.

NOE.

Sprawiedliwy nie daje złego przykładu.

CHAM.

Ładna rodzina. Prababka grzeszyła z wężem, dziadek zamordował brata, a papa alkoholik.

NOE.

Nie krytykuj ojca, błaznie.

SEM.

Słońce!

JAFET.

Słońce!

Wśród chmur, które od pierwszego dnia potopu szarym całunem okrywały niebo ukazuje się krąg tarczy słonecznej. Przez niewielkie okienko wpływają do wnętrza arki złote promienie, napełniając ją wesołą jasnością.

PANI NOE (składając ręce jak do modlitwy).

Słońce... słońce...

JAFET.

Słońce (podbiega do okna).

PANI NOE.

Może już i ziemia będzie.

NOE.

Napewno będzie... Jeszcze dzień dwa i przyplniemy... a to wszystko mówię ci dlatego, że się napiłem soku winnego. Odrazu rozjaśniło mi się w głowie.

PANI NOE (nawpół udobruchana nadzieją szybkiego wylądowania).

No... no, o tem porozmawiamy na lądzie.

NOE.

Raj się odkupi...

JAFET (od okna).

Gołąb pocztowy!

PANI NOE.

Nie może być, gdzie...

SEM.

Jafet ma rację, i ja go widzę... Jak Boga kocham, gołąb pocztowy.

NOE.

Otwórzcie okno.

Jafet otwiera okno. Do arki wpada gołębica z gałązką oliwną w dziobie.

PANI NOE.

Ziemia, ziemia...

JAFET.

Może jeszcze dziś na noc dojedziemy.

SEM.

Teraz to już wszystko jedno kiedy.

CHAM.

Ale ja się już do końca życia nie będę mył.

PANI NOE. (do męża).

No, tym razem, że się tak szczęśliwie złożyło, to ci ujdzie na sucho...

NOE.

Ja ci powiadam, że sprawiedliwy nigdy nie zginie tylko... musi pić.

Radość maluje się na wszystkich obliczach. Wesoło kołysząc się na falach, arka płynie w blaskach słońca ku szczytom góry Ararat.